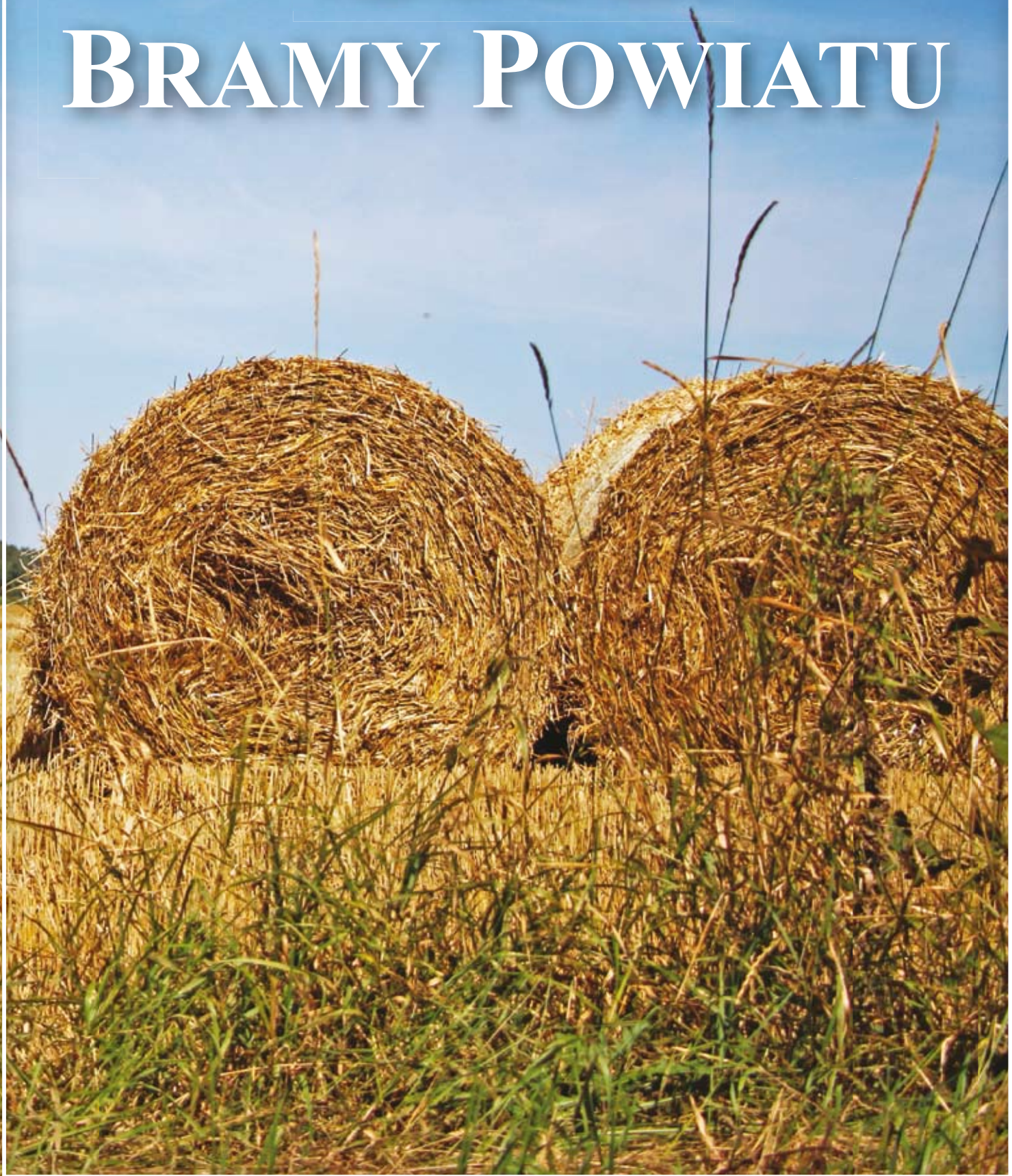




BRAMY POWIATU





BRAMY POWIATU

KWARTALNIK NR 6

CIECHANÓW 2020



Ks. Jarosław Arbat – absolwent Wyższego Seminarium Duchownego w Płocku, od 2012 r. proboszcz parafii pw. św. Zygmunta w Opinogórze.

Anna Bartold – absolwentka kierunku Turystyka i Rekreacja na AWF, kierownik Wydziału Promocji i Polityki Społecznej w Starostwie Powiatowym w Ciechanowie.



Grażyna Czerwińska – absolwentka etnografii na UW, pracownik Wydziału Promocji i Polityki Społecznej w Starostwie Powiatowym w Ciechanowie.

Dr Tomasz Czerwiński – etnograf, Szkoła Główna Turystyki i Hotelarstwa Vistula w Warszawie.



Ewa Gładysz – koordynator Powiatowego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Ciechanowie.

Ks. prałat dr Ireneusz Wrześniński – wieloletni proboszcz i dziekan ciechanowskiej fary, studiował teologię dogmatyczną na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, doktorat uzyskał w Akademii Teologii Katolickiej.



Wydawca:

Starostwo Powiatowe w Ciechanowie
ul. 17 Stycznia 7, 06-400 Ciechanów
www.ciechanow.powiat.pl

ISSN 2657-7615

Skład i druk:

Drukarz Sp.j.
ul. Towarowa 2, 06-400 Ciechanów
tel.: 23 672 71 12; www.drukarz.net.pl

SPIS TREŚCI

| | |
|--|----|
| Z KART HISTORII..... | 6 |
| <i>Grażyna Czerwińska</i> OJCZYŻNA W POTRZEBIE!..... | 8 |
| <i>Ks. Jarosław Arbat</i> WRZESIEŃ PACHNĄCY JEŻYNYMI..... | 12 |
| <i>Anna Bartołd</i> ŚW. LEONARD..... | 18 |
| <i>ks. prał. dr Ireneusz Wrzesiński</i> PEREGRYNACJA FIGURY MATKI BOŻEJ FATIMSKIEJ..... | 22 |
| <i>Ewa Gładysz</i> CIECHANOWSCY SENIORZY WSPOMINAJĄ..... | 25 |
| <i>Tomasz Czerwiński</i> Z ETNOGRAFICZNEJ TEKI . MAZOWIECKICH ODPUSTÓW CZAR..... | 36 |





OD REDAKCJI

Wydarzenia sierpniowe sprzed stu lat zmieniły bieg historii świata. Warto przypominać, że walki podczas Bitwy Warszawskiej toczyły się na rozległym froncie, obejmującym również Ciechanów i okolice - Przedwojewo, Rzeczeki, Ojrzeń, Sońsk, Sarnową Górę, Glinojec...

Pamiętamy i oddajemy cześć Tym, dzięki którym przetrwały nasze wartości i którzy przed wiekiem walczyli o Niepodległą.

Każdy wrzesień kieruje nasze myśli do II Wojny Światowej, czasu okrutnego terroru, kolejnego w historii rozbioru ziem polskich i dramatycznych walk o odzyskanie wolności. Straszna cenę zapłacił za to również Kościół. Tysiące duchownych trafiło do obozów, a około dwóch tysięcy spośród nich zostało zamordowanych.

Pamiętamy...

W sposób szczególny otwieramy Bramy Powiatu dla seniorów i ich wspomnień.

To wyjątkowe, bezpośrednie lekcje historii przekazywanej przez przedstawicieli starszego pokolenia, ludzi związanych z naszym powiatem. Ich pamięć jest zwierciadłem pozwalającym zachować obraz minionych dni. Fakty historyczne, wydarzenia pokazane przez pryzmat ludzkich losów z pewnością łatwiej zrozumieć i zapamiętać.

Oddajemy do Państwa rąk kolejne Bramy... jak zwykle pełne historii i wspomnień.

*Joanna Potocka-Rak
Starosta Ciechanowski*

Z kart historii



Czeka nas śmierć albo wielka sława

(Józef Piłsudski)



Stan oblężenia. Na mocy rozporządzenia Rady obrony państwa zaprowadzono tak zwany „stan oblężenia” w Warszawie i pobliskich 17-tu powiatach: ostrołęckim, ostrowskim, sokołowskim, węgrowskim, radzymińskim, mińskim, warszawskim, grójeckim, błońskim, płońskim, pułtuskim, przasnyskim, ciechanowskim, mławskim, sierpeckim, płockim i rypińskim. Wszystkie urzędy wojskowe i nie-wojskowe na całym tym obszarze podlegają władzy gubernatora wojennego, generała Latinika. Między innymi ma on prawo usuwać całą ludność z domostw, ze wsi lub miast, jeśli to potrzebne dla obrony, oraz wydalać pojedynczych ludzi. Ma również prawo zarządzać niszczenie i usuwanie wszystkiego, co mogłoby utrudnić działania wojsk, lub ułatwić walkę

wojskom nieprzyjacielskim. Za zniszczenie lub uszkodzenie wskutek tego wypłaca się wynagrodzenie podług cen oznaczonych przez znawców i zatwierdzonych przez gubernatora wojennego. Gubernator wojenny ma prawo oddawać przestępców pod sąd doraźny, który skazuje najmniej na 4 lata więzienia, a może skazywać i na śmierć.

(Gazeta Świąteczna, 1920)



Katastrofa kolejowa. Wczoraj w nocy o godz. 2 na stacji Konopki (odnoga mławska) pociąg aprowizacyjny złożony z 59 ładownych wagonów, wpadł przy zamkniętym wyjściowym sygnale, na stojący na głównym torze stacyjnym pociąg zbiorowy, złożony z 9 ładownych i 61 próżnych wagonów. Rozbiciu uległo 7 wagonów, przy czym tor uległ zniszczeniu na przestrzeni 20 metrów. Z pośród poborowych, jadących do Ciechanowa, jest 4 zabitych, 4 ciężko rannych, 10 lżej. Rannych odesłano do szpitala w Ciechanowie. Przerwy w ruchu pociągów nie było.

(Kurier Warszawski, 1920)



Z pól walki. (Komunikaty sztabu Generalnego). Dn. 26/VIII. Na odcinku 1 i 5 armii sytuacja bez zmiany. Podczas oczyszczania terenu na zachód od linii Mława – Ciechanów wyłapano w dalszym ciągu 3 000 niedobitków wojsk bolszewickich.

(Gazeta Polowa, 1920)



Według prywatnych naszych wieści, wróg zajął Przasnysz w sobotę. Wczoraj przejściowo zajął Ciechanów, ale został z niego wyparty, przy czym raniono porucznika Zawadzkiego. Podjazdy bolszewickie dochodzą do Sochocina, lecz wszędzie są rozbijane o niszczone przez naszą jazdę.

(*Kurier Płocki*, 1920)



Zajęcie Działdowa. Berlin (PAT). Biuro Wolfa donosi z Królewca: Działdowo zostało dzisiaj rano przez Polaków obsadzone. Patrole ich doszły już do Iłowa. Odwrót północnej części rosyjskiego skrzydła północnego przez Mławę nastąpił w porządku, zdaje się jednak, że jeszcze silniejsze oddziały kawalerii na północy od Ciechanowa znajdują się w odwrocie.

(*Ilustrowany Kurier Codzienny*, 1920)



Podatek od okien. Wobec wielkich potrzeb materialnych armii, Obywatelski Komitet Wykonawczy Obrony Państwa postanowił pobrać podatek jednorazowy od okien domów, znajdujących się na terenie całej Rzeczypospolitej. Podatek ten będzie pobierany w rozmiarach następujących: w miastach od okien wystawowych w sklepach po 100 mk od okna, od okien frontowych lokali mieszkalnych po 25 mk od okna, od okien niefrontowych 10 mk od okna; w miasteczkach, osadach i wsiach – od okien wystawowych po 50 mk od okna i od wszystkich innych okien po 10 mk. Podatek ten będzie ściągany nie tylko od właścicieli lokalu, ale również od sublokatorów, zajmujących pokoje w danym mieszkaniu. W hotelach, zajazdach, oberżach i pensjonatach opłacać będą podatek okienny przejezdni zajmujący lokale, od okien niezajętych pokoi płacą właściciele lokali.

Od podatku tego zwolnione są gmachy rządowe i gmachy instytucji użyteczności publicznej.

(*Gazeta Policji Państwowej*, 1920)



Posiedzenie (sejmu) w dniu 25 X otworzył marszałek (Wojciech Trąmpczyński) wygłoszeniem wspomnienia pośmiertnego o pośle Aleksandrze Napiórkowskim, który zginął w bitwie pod Ciechanowem dn. 18 sierpnia.

(*Żołnierz Polski*, 1920)



Zajęcie przez nas Ciechanowa, co nastąpiło nocy ubiegłej, jest wzięciem klucza do całej pozycji, gdyż rozcina się wskutek tego cały front bolszewicki na dwie połowy.

(z wywiadu specjalnego korespondenta wojennego Kuriera w Ciechanowie z gen. Sikorskim, *Kurier Poranny*, 1920)



„Wilk” we walce z bolszewikami. „Rzeczpospolita” donosi: We walkach pod Mławą i Ciechanowem stale odznaczał się pociąg pancerny „Wilk”. Gdy pierwszy raz Ciechanów został opanowany przez bolszewików, „Wilk” wpadł na stację, która już była zajęta przez nieprzyjaciela i zaczął ostrzeliwać tłumy czerwonych gwardzistów ze wszystkich swoich karabinów maszynowych i armatek, które nazywają się Zośka i Baśka. Innym razem „Wilk” zniszczył pod Ciechanowem znaczny oddział taborów bolszewickich.

(*Gazeta Świąteczna*, 1920)



Na żołnierzy polskich, ks. Ozdobiński i nauczycielstwo złożyło dochód z zabawy dziecięcej w Sulerzyszu – 240 mk.

(*Gazeta Świąteczna*, 1920)

OJCZYŻNA W POTRZEBIE!



11 pułk ułanów,
fot. ze zbiorów Grzegorza Domańskiego

Wzywamy wszystkich zdolnych do noszenia broni, by dobrowolnie zaciągali się w szeregi armii stwierdzając, iż za Ojczyznę każdy w Polsce z własnej woli gotów złożyć krew i życie – apelował Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz Józef Piłsudski w pierwszych dniach lipca 1920 r. Rada Obrony Państwa Polskiego ogłosiła zaciąg ochotniczy oraz postanowiła przeprowadzić nadzwyczajny pobór do wojska, powołując mężczyzn z roczników 1885 – 1889. Dnia 6 sierpnia w Warszawie i siedemnastu powiatach województwa warszawskiego, w tym ciechanowskiego, wprowadzony został stan oblężenia. Gubernatorem wojskowym z pełnią władzy został gen. Latinik¹. Podlegały mu wszystkie wojskowe, cywilne, państwowe i samorządowe urzędy, a także ludność tego obszaru. Instytucje publiczne zostały ewakuowane, ciechanowska policja trafiła pod Gostynin, również wielu cywilnych mieszkańców opuściło swoje domy.

W walkach uczestniczyły różne formacje, wśród których zdecydowanie przeważały oddziały ochotnicze. Na linii kolejowej operowało

kilka pociągów pancernych, z których podobno załoga „Wilka”² odznaczała się szczególną brawurą i dzielnością. Prasa donosiła, że w czasie walk sierpniowych na dworcu kolejowym w Ciechanowie służba medyczna amerykańskiego Czerwonego Krzyża udzielała pomocy rannym żołnierzom. Dwa wagony zamienione zostały na sale operacyjne. *Robota idzie piorunem, ale rannych jest dużo, chirurgów mało* – pisał w dniu 23 sierpnia korespondent „Kurier Warszawski”.

26 sierpnia komendy policji wróciły do macierzystych posterunków. Na początku września sytuacja zaczęła się stabilizować. Dozwolony został bez żadnych ograniczeń powrót do domów ewakuowanych mieszkańców, wróciły do swych siedzib instytucje publiczne, zaczęło się liczenie strat, które były ogromne. Według szacunków Państwowej Instytucji Ubezpieczeń Wzajemnych, w wyniku nawały bolszewickiej same budowle w pow. ciechanowskim zostały zniszczone w 58%.

W zatrzymaniu pochodu Armii Czerwonej decydująca była bitwa zwana Bitwą Warszawską lub Cudem nad Wisłą. Jednym z kluczowych wydarzeń tej bitwy było zdobycie przez kaliski 203 pułk ułanów w dniu 15 sierpnia sztabu 4. armii bolszewickiej (kwaterującej wtedy w Ciechanowie) wraz z kancelarią i radiostacją (jedną z dwóch w 4. armii sowieckiej). W ten sposób przerwana została łączność Sowietów z naczelnym dowództwem frontu w Mińsku, dzięki czemu 4. armia zamiast pod Radzymin (gdzie trwały najcięższe boje) zapędziła się aż pod Toruń. Historycy twierdzą, że nie byłoby

¹ Franciszek Latinik (1864-1949) – służył w armii austro-węgierskiej, od 1918 w wojsku polskim, generał dywizji. W sierpniu 1920 wojskowy gubernator stolicy i dowódca 1 armii, odpierającej bolszewików na przedpolach stolicy. W 1925 przeniesiony w stan spoczynku.

² Pociąg przeciwpancerny nr 8 „Wilk”, wcześniej „Rozwadowczyk”, wyposażony w 3 wozy pancerne, 2 działa, 12 karabinów maszynowych.



Pociąg pancerny „Wilki”,
Internet, domena publiczna

Cudu nad Wisłą, gdyby nie doszło do tego cudu w Ciechanowie. Radiostacja nie tylko została zdobyta, ale również wykorzystana dla zmylenia przeciwnika. Dostyc zagadkowo pisał o tym korespondent wojenny: *Zajmując Ciechanów d. 15-go b. m. wojska nasze pozabawiły IV-tą armię podstawy operacyjnej*, a było to podobno tak. Warszawski nadajnik błyskawicznie został przestrojony na częstotliwość sowieckiej radiostacji i przez dwa dni radiotelegrafści na zmianę, nieprzerwanie nadawali alfabetem Morse’a wiadomości. Jedynym tak długim, dostępnym „od ręki” tekstem było Pismo Święte, więc zdumieni i zdezorientowani sowieccy radiowcy słuchali *Na początku było Słowo...* Skutecznie zagłuszano w ten sposób sygnał z odległego Mińska, dzięki czemu druga radziecka radiostacja nie była w stanie odebrać rozkazów Tuchaczewskiego, kierowanych do dowództwa 4. armii. W ten sposób praktycznie wyeliminowano udział 4. armii sowieckiej z bitwy pod Warszawą, osłabiając nacierające siły nieprzyjaciela. Było to jedno z istotnych wydarzeń, dzięki którym ostatecznie udało się zmusić bolszewików do odwrotu. Zwycięstwo było okupione przelaną krwią i ranami. O walkach, przebiegu bitwy, zwycięstwach i stratach napisano już wiele.

Wydarzenia sierpniowe w naszej okolicy były na tyle ważne i znaczące, że zdjęcia z odparcia najazdu bolszewickiego zatytułowane „Ofensywa na Ciechanów” prezentowane były



Zrzuty ekranu – Kurier Warszawski, 1920 r.

przez kilka dni w dwóch warszawskich „teatrach świetlnych”³ – tzw. zeroekranach Corso i Nirwana. W końcu sierpnia „Kurier Warszawski” donosił, że *Ciechanów dał kapitalny przykład samoobrony; wyrzucił bolszewików jeszcze przed przybyciem naszych wojsk. Było to przed tygodniem. Kiedy w sobotę mieszkańcy usłyszeli dalekie odgłosy strzałów, wówczas złączyli się i w niedzielę obsadzili miasto dookoła. [...] Kiedy zaczęto ostrzeliwać załogę bolszewicką, wtedy wojska sowieckie chciały się wycofać z miasta, ale na wszystkich drogach wyjazdowych natrafiono na powstańców, wobec tego załoga poddała się ludności. 30 sierpnia prasa donosiła, że wielka*

³ Kina początkowo nazywano teatrami świetlnymi. Zeroekranami określano kina premierowe. Wymienione dwa kina były eleganckie, przyciągały rzesze publiczności. Kino Corso przy ul. Wierzbowej 7 było jednym z większych, liczyło 600 miejsc, a Nirwana przy ul. Mokotowskiej 66 miała 400 miejsc.

bitwa o Warszawę skończyła się. Według sprawozdawcy „Gazety Świątecznej”, na zdobycie stolicy szły cztery armie sowieckie, złożone z 22 dywizji piechoty, 2 dywizji jazdy i wojska armatniego. Było tego podobno razem 250 tysięcy, armat zaś wlekli bolszewicy podobno około 400. Cała ta ogromna siła została zniszczona.

Choć generalnie groźne i dramatyczne, to czasami wydarzenia wojenne sprzed stu lat obfitowały również w momenty komiczne i odprężające. Jedną z takich przedziwnych akcji 144 pułku piechoty pod dowództwem majora Ocetkiewicza⁴ z połowy sierpnia 1920 opisuje korespondent wojenny tygodnika „Świat” „z miejsca postoj”, w trójkącie gdzieś między Ciechanowem, Mławą i Płońskiem. Silne oddziały nieprzyjaciela oskrzydlały dwie kompanie ochotników polskiego pułku. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Major Ocetkiewicz rozkazał żołnierzom jednej kompanii za wszelką cenę wstrzymać bolszewików przez kilka minut silnym ogniem, a do drugiej wezwał „galopem” pułkowego doktora. Zdyszany lekarz otrzymał nietypowy rozkaz: „w jednej chwili” wysmarować całą kompanię czarnym mastyksem, aby przeobrazić ich w Murzynów. Mastyks⁵ było to już wcześniej przygotowane na taką okoliczność smarowidło z sadzy i tłuszczu świńskiego. Doktor błyskawicznie zabrał się do dzieła, sami żołnierze również szybko smarowali twarze i ręce. Po 5 minutach dzięki tej charakterystacji cała kompania wyglądała jak *sturodowitych, czystej krwi Senegalczyków*. Wtedy major Ocetkiewicz zarządził atak „czarnej”

⁴ Marian Ocetkiewicz (1895-1941) – w czasie I wojny walczył w Legionach, w wojnie z bolszewikami w stopniu majora dowodził 144 pułkiem Strzelców Kresowych; w międzywojniu służył w różnych jednostkach. II wojna zastała go w Krakowie, gdzie działał w Tajnej Organizacji Wojskowej „Związek Orła Białego”. W kwietniu 1941 aresztowany, wywieziony do obozu koncentracyjnego w Auschwitz; 10 lipca tego roku rozstrzelany pod ścianą śmierci.

⁵ Mastyks oryginalny jest to aromatyczna, miękka żywica naturalna pozyskiwana z drzewa pistacji kleistej, rosnącego w basenie śródziemnomorskim.

kompanii. Jak opisywał korespondent wojenny, *szybko zebrali się murzyni, jeszcze szybciej wybiegli za wieś i rozwinąwszy się w tyralierę, z nieparlamentarnym zgoła wrzaskiem mającym imitować gwarę murzyńską, rzucili się na wroga.*

W czasach, gdy widok czarnoskórego był rzadkością, nieznaną zwłaszcza czerwonoarmiejcom pochodzącym z odległych, zabitych dechami siół carskich, ten niebywały fortel z towarzyszącymi dzikimi okrzykami miał skutek piorunujący i zaskakujący. Przeważający liczebnością i uzbrojeniem nieprzyjaciel, który już łamał opór polskiej piechoty, osłupiał z przerażenia i konsternacji. Trwało to tylko chwilę, bo zaraz – jak na rozkaz – rzucając karabiny, w popłochu wszyscy rzucili się do ucieczki, zostawiając swoich zabitych i rannych. Dzięki temu, kosztem dwóch zabitych i tyluż rannych po polskiej stronie, lewe skrzydło 144 pp zostało uwolnione od zagrożenia. Tak wspominał to major Franciszek Arciszewski⁶, szef sztabu 18 dywizji piechoty, w skład której wchodził 144 pp: *Skutek był piorunujący! Biedne muzyki bolszewickie uciekały co sił w nogach, a ci co wpadli w nasze ręce byli pewni, że mieli do czynienia z francuskimi murzynami. Jeszcze kilka dni później więźci jeńcy opowiadali o wrażeniu, jakie wywarło po bolszewickiej stronie pokazanie się u nas francuskich wojsk kolonialnych*”. Epizod ten pozwolił oddziałom polskim odzyskać utracone pozycje, a major Ocetkiewicz zyskał sławę. Za wydarzenia sierpniowe został przedstawiony do odznaczenia krzyżem srebrnym orderu *Virtuti Militari*⁷ klasy V.

⁶ Franciszek Arciszewski (1890-1969) – służbę rozpoczął w armii austro-węgierskiej; z niewoli włoskiej uciekł do Błękitnej Armii Hallera, brał udział w wojnie bolszewickiej. W latach 1930-35 poseł na sejm z ramienia Listy Narodowej, później stał na czele Związku Towarzystw Gimnastycznych „Sokół”. Od 1939 udzielał się w wojskowości na emigracji.

⁷ Ustanowiony przez Augusta Stanisława Poniatowskiego, reaktywowany po odzyskaniu niepodległości; najwyższe polskie odznaczenie wojenne. W 1920 Rada Obrony Państwa ustanowiła odznakę w postaci naszywki ze wstążeczki barw



Z cmentarza – Fot. Archiwum
Starostwo Powiatowe

Odprężenie walczącym dawali artyści scen warszawskich, którzy jeździli po miejscowościach na zapleczu frontu z koncertami i występami o charakterze patriotycznym, podnoszącymi morale żołnierzy. 28 i 29 sierpnia w ciechanowskich gospodach żołnierskich dała dwa koncerty czwórka artystów: Ignacy Dygas⁸ znakomity tenor opery warszawskiej, Władysław Staszkowski⁹ artysta teatru Rozmaitości, humorysta Mieczysław Staniewski¹⁰ oraz znany pisarz i orator teatru Bolesław Gorczyński¹¹. Występy, przeplatane humorystycznymi scenkami, cieszyły się ogromnym powodzeniem.

Ochrzczone mianem „cudu nad Wisłą” wydarzenia z sierpnia 1920 r. były różnie interpretowane między ludem, czasami jako nadprzyrodzone. Jeden z takich komentarzy

wstęgi orderu z pięcioramiennymi srebrnymi gwiazdkami, oznaczającymi liczbę ran (rany odniesione w jednej bitwie odpowiadały jednej gwiazdce). Prawo noszenia mieli walczący w legionach, I, II i III korpusie wschodnim, armii Hallera i w innych formacjach wojskowych, uznanych przez Rzeczpospolitą. Po zakończeniu działań wojennych Ministerstwo Spraw Wojskowych zezwoliło na noszenie gwiazdek przy ubiorze cywilnym.

⁸ Ignacy Dygas (1881-1947) – śpiewak operowy, pedagog muzyczny, prezes Związku Artystów Scen Polskich, występował na scenach polskich i wielu innych państw.

⁹ Władysław Staszkowski (1865-1936) – aktor i reżyser, w 1920 wraz z Urzędem Propagandy Generalnego Inspektora Armii organizator wędrownego teatru.

¹⁰ Mieczysław Staniewski (1879-1927) – artysta cyrkowy, klaun – parodysta, po wojnie 1920 założył własny cyrk.

¹¹ Bolesław Gorczyński (1880-1944) – dramaturg, publicysta, tłumacz, dyrektor lub kierownik literacki kilku teatrów; zginął w czasie Powstania Warszawskiego.



Z cmentarza – Fot. Archiwum
Starostwo Powiatowe

przeczyta „Gazeta Policji Państwowej”. Pewna sklepikarka z Powiśla tłumaczyła redaktorowi, dlaczego bolszewicy nie weszli do Warszawy. Wszystkim ponoć było wiadomo, że wstępujący do Armii Czerwonej ślubowali wyrzeczenie się „mydła i spraw jego”. Każdy podpisywał deklarację, że przez czas służby nie będzie się kąpał, aby „inwentarz skarbowy nie dostał kataru”. Kiedy bolszewicy podeszli pod Warszawę, ich główny dowódca dowiedział się, że przy moście na Nowym Zjeździe stoi wielka łaźnia. Natychmiast zwołano radę wojenną, która postanowiła, że „żołnierza nie można demoralizować” i nakazano odwrót całej armii bolszewickiej. Tak zapewniała warszawska sklepikarka, której o wszystkim opowiadał praski dorożkarz.

Grażyna Czerwińska

WRZESIEŃ PACHNĄCY JEŻYNYMI

*Pozwólcie, Szanowni Czytelnicy, przypomnieć fragment
„Psałterza Wrześniowego” autorstwa Piotra Rubika:*

Wrzesień z krzakami czarnych jeżyn
Wrzesień jak niemy płacz psalterza...
Wrzesień z krzakami czarnych jeżyn
Wrzesień jak niemy płacz psalterza...
Wrzesień jak niemy płacz
Jak niemy płacz
Jak niemy płacz
Jak niemy

Dojrzałej śliwy pień podparty
Wrzesień i w Moskwie Bonaparte
Bawiące szablą się bachory
Wrzesień i Polski dwa rozbiory

Bukiet piwonii dla dziewczyny
Wrzesień z Hitlerem i Stalinem
Światowy szyk Zakopanego
Wrześniowy pogrzeb Witkacego

Morderczy upał na ulicach
Wrzesień i cyklon B w Auschwitzu
Pszczoly, co w sadzie słodko brzeczą
Zamach na olimpiadę w Niemczech

Horyzont z kwiecia wrzosowego
Wrzesień i cela Wyszyńskiego
Stolik herbata i gazeta
Wrześniowy przewrót Pinocheta
Wrzesień z krzakami czarnych jeżyn
Wrzesień jak niemy płacz psalterza...

Lasy, co kosze grzybów dają
Wrzesień Dagestan i Basajew
Ciężarne cierpkim jabłkiem sady
Wrzesień z początkiem Intifady

Babcia, co odebrała rentę
Wrzesień i trupy w World Trade Center
Chrupkie pieczywo na śniadanie
Wrzesień i z kosą śmierć w Biesłanie

Wrzesień z krzakami czarnych jeżyn
Wrzesień jak niemy płacz psalterza...
Wrzesień z krzakami czarnych jeżyn
Wrzesień jak niemy płacz psalterza...
Wrzesień jak niemy płacz
Jak niemy płacz
Jak niemy płacz
Jak niemy

Kolejny wrzesień i ciągle trwa kolejna wojna. Niewidzialna dla oka, z najeźdźcą tak małym, że nie można zobaczyć go gołym okiem, potrzeba grubego szkła mikroskopu, a jednocześnie tak liczny – miliardy miliardów, który swe wojska

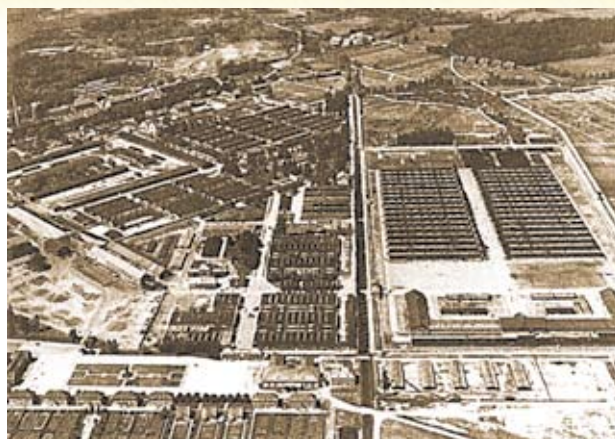
przeformułuje w jednej chwili, podstępnie, dla wielu zabójczo.

Pandemia spowodowała wiele ograniczeń, zawieszenie wręcz podstawowych wolaści obywatelskich. W trosce o drugiego człowieka

jesteśmy gotowi to przyjąć. Pamiętam szok Wielkanocy Roku Pańskiego 2020. Najpierw Wielki Post bez spowiedzi, rekolekcji, dróg krzyżowych, później Wielki Czwartek, Piątek, Sobota – bez możliwości bycia w kościele. Cisza wielkanocnego poranka nieprzerwana gromkim śpiewem całego ludu – *Wesoły nam dzień dziś nastał*. Być może wielu pomyślało: świat się kończy, wiara się kończy – myślę, że nic bardziej mylnego, prawdziwie wierzący pragnieniem Boga wierzyli i wierzą jeszcze mocniej. Zamknięte kościoły, burzone czy palone nie pierwszy raz w historii człowieka – właściwie każda wojna, każda rewolucja odciskała na nich swe krwawe piętno.

Skoro wrzesień, to II wojna światowa. Jak Polacy i polski kościół radzili sobie w tym strasznym czasie? II wojna była właściwie IV rozbiorem Polski, który faktycznie nastąpił 17 września. Wschodnie tereny Rzeczypospolitej z wielkimi ośrodkami kulturalnymi i naukowymi (Wilno, Lwów) zajęli bolszewicy Rosjanie, zaś zachodnią (z historycznymi stolicami – Gniezno, Kraków, Warszawa) zagarnęli hitlerowscy Niemcy.

W każdej części tego rozbioru sytuacja wyglądała nieco inaczej, lecz równie tragicznie. W toku działań wojennych '39 r. Związek Sowiecki opanował tereny Rzeczypospolitej, obejmujące obszar 201 tys. km² z 13,4 mln ludności, w tym 8,7 Ukraińców, Białorusinów, Żydów i Litwinów oraz 4,7 mln Polaków. 29.11.1939 r. Prezydium Rady Najwyższej ZSRR nadało wszystkim mieszkańcom wcielonych ziem obywatelstwo sowieckie. Programowa komunistyczna ateizacja oraz chęć wyniszczenia ostoji narodowej i kulturowej, jaką był kościół katolicki, szybko dała swoje straszliwe żniwo. Kościoły, klasztory, seminaria, instytucje charytatywne, jak domy dziecka, szpitale, domy starców i inne, zostały zajęte i rozgrabione. Wkraczając do Polski,



Obóz Dachau – Internet, domena publiczna

bolszewicy nieśli program wyrażony hasłem „religia to opium dla ludu”. Jedną z podstaw reżimu sowieckiego była walka z religią w ogóle, a katolicką w szczególności. Historycy twierdzą, że w tym czasie w całym państwie sowieckim nie odprawiała się ani jedna msza katolicka (poza kaplicami ambasad państw katolickich w Moskwie), nie było ani jednego księdza na wolności i ani jednego kościoła.

W praktyce oznaczało to wymordowanie, uwięzienie lub deportację większości duchowieństwa katolickiego. Ci, którym udało się ocalić życie lub wolność, rozpoczęli represjonowaną pracę kościoła podziemnego. Krótką odmianą było wkroczenie na te tereny wojsk niemieckich w 1941 r. Na Ukrainie obudziły się wtedy ruchy nacjonalistyczne pod przewodnictwem Bandery. Dramatyczne wydarzenia w czasie rzezi wołyńskiej niejednokrotnie rozpoczynały się od zabicia proboszcza. Przykładów podawać można by wiele. W czasie krwawej niedzieli 11 lipca 1943 r., kiedy UPA zaatakowała prawie sto polskich miejscowości, zginęło podczas sprawowania mszy świętej dwóch kapłanów: ks. Józef Aleksandrowicz – proboszcz z Zabłotców i ks. Jan Kotwicki – proboszcz z Chrynowa. Pierwszemu oprawcy skręcili kark i porzucili ciało na stopniach ołtarza. Ks. Kotwicki został zabity podczas próby ucieczki z kościoła. Jego ciało



Brama do Dachau – Internet, domena publiczna

zostało przewiezione przez ocalałą z masakry siostrę i dwie towarzyszące jej kobiety do Włodzimierza Wołyńskiego i pochowane na tamtejszym cmentarzu parafialnym.

Tego samego dnia w czasie ataków na kościoły ciężko raniono dwóch innych duchownych: w Porycku – ks. Bolesława Szawłowskiego, a w Kisielinie – ks. Witolda Kowalskiego. Pierwszy, po ostrzeżeniu przez Ukraińca z sąsiedniej wsi, że o 11.00 nastąpi atak nacjonalistów, poinformował o tym wiernych za pośrednictwem ministrantów. Ludzie przyjęli jednak wiadomość z niedowierzaniem i zapelnili kościół. Gdy UPA otoczyła świątynię i zaczęła strzelać, kapłan starał się uspokajać ludzi. Udzielając im rozgrzeszenia, został dwukrotnie ranny, spadł z ambony i udawał, że nie żyje. Wieczorem doczołgał się do domu miejscowego popa, który zaopiekował się nim i przyniesionymi na jego prośbę z kościoła paramentami

liturgicznymi. Nacjonałści zorientowali się jednak, że kapłan przeżył i zamordowali go po kilku dniach. Pop Szelest zdążył udzielić mu ostatniej posługi, a potem pochował jego ciało w nieznanym do dziś miejscu. Ks. Kowalski, raniony w kość policzkową, przeżył. W tym samym miesiącu nacjonałści w okrutny sposób zabili dwóch kolejnym duchownych – w Strężarzycach ks. Karola Barana, a w Wyszogródku ks. Konstantego Turzańskiego. Ks. Baran, według niektórych relacji, został uprowadzony do lasu, gdzie przerżnięto go piłą na pół. Ks. Turzański poniósł śmierć wraz z wiernymi w podpalonym parafialnym kościele.

Na terenach zajętych przez Niemców sytuacja kościoła katolickiego przedstawiała się równie, a może nawet bardziej tragicznie. Trzeba odróżnić Generalną Gubernię oraz Kraj Warty i ziemie włączone bezpośrednio do Rzeszy. Najciężej było na tych ostatnich. *Klechy*



Tablica w Dachau – Internet, domena publiczna

są naszymi śmiertelnymi wrogami – grzmiał Hans Frank. Od momentu najazdu na Polskę we wrześniu '39 r. Niemcy zrobili wszystko, by wypłenić z kraju katolicyzm, uważany za „ostatnią ostoję polskiego nacjonalizmu”. W praktyce oznaczało to jedno: likwidację polskiego duchowieństwa.

Krwią przelaną podczas okupacji niemieckiej Kościół w Polsce najdobitniej potwierdził swój sprzeciw wobec ideologii narodowosocjalistycznej. Ogółem hitlerowcy wymordowali w czasie wojny około 2 000 polskich kapłanów i ponad 200 sióstr zakonnych. Najostrzejsze represje dotknęły obszary bezpośrednio wcielone do Rzeszy (Wielkopolska, Pomorze i okręg łódzki). W diecezji wrocławskiej wymordowano 49% duchowieństwa, w chełmińskiej – 48%, w łódzkiej – niemal 37%, w poznańskiej – 31%. Na Pomorzu (diecezje wrocławska i chełmińska) spośród 690 księży aresztowano (według wciąż nieprecyzyjnych szacunków) 460 kapłanów, 214 z nich zostało zamordowanych

(wymordowano m.in. wszystkich członków kapituły katedralnej w Pelplinie).

Jedną z pierwszych decyzji wojsk niemieckich, które weszły do Poznania w 1939 r., było wysadzenie w powietrze pomnika Najświętszego Serca Jezusowego. To był zwiastun antychrześcijańskiej polityki, której gorliwym wykonawcą okazał się hitlerowski namiestnik Kraju Warty Artur Greiser. To na jego polecenie w latach 1939–1944 zamknięto ok. 1 300 kościołów i kaplic, a około 500 z nich – włącznie z katedrą poznańską – zamieniono na magazyny. Gestapo deportowało z Wielkopolski do obozów koncentracyjnych i więzień 1 092 polskich księży. 662 z nich nigdy już nie wróciło do ojczyzny, ponosząc męczeńską śmierć w nazistowskich katowniach. Wielkopolska utracić miała nie tylko swój polski charakter; wymazane miały być także wszelkie ślady katolickiej tożsamości. Temu m.in. służyło zarządzenie Greisera o usuwaniu przydrożnych krzyży i świątków, charakterystycznych dla wielkopolskiej wsi.



Kościół w Opinogórze – fot. Archiwum Starostwo Powiatowe

Krzyż był wrogiem swastyki. Polski Kościół był prześladowany nie tylko na terenach wcielonych do Niemiec. W samej diecezji warszawskiej naziści zamordowali 212 katolickich księży. Podobną politykę wobec polskiego duchowieństwa III Rzesza prowadziła również na wschodnich terenach Rzeczypospolitej. 31.07.1943 r. gestapo aresztowało w Nowogrodzku 11 sióstr zakonnych ze Zgromadzenia Św. Rodziny z Nazaretu.

Prawdziwą kalwarią zgotowaną katolickiemu duchowieństwu (nie tylko polskiemu) przez narodowych socjalistów był obóz koncentracyjny w Dachau, obóz zagłady „wyspecjalizowany”

w eksterminacji katolickich księży. W czasie całej II wojny przewinęło się przez niego ponad 2 500 księży z 24 narodów. Więzień Dachau, holenderski ksiądz DeConnick, tak opisywał nadzorców więziennych: *Nigdy przed Dachau nie widziałem na własne oczy prawdziwej nienawiści, oczu płonących podłością, ust wykrzywionych w gniewie na sam widok księdza*. Jedynym, co prawda istotnym ustępstwem władz III Rzeszy była zgoda na zbudowanie w obozie kaplicy, w której uwięzieni kapłani mogli odprawiać mszę świętą. Pierwsza msza w Dachau została odprawiona 22.01.1941 r. przez polskiego kapłana, ks. Pawła Prabuckiego (zmarł rok później z wycieńczenia). Po zakończeniu Najświętszej Ofiary zgromadzeni w kaplicy księża – więźniowie zaintonowali „Christus vincit!”.

Pełny opis martyrologii katolickiego duchowieństwa w Dachau zająłby wiele tomów. Dość wspomnieć o przybyłym 29.10.1941 r. do obozu transporcie 530 polskich księży (w tym wielu w podeszłym wieku), z których zimę przeżyło jedynie ośmiu. Polscy kapłani przeznaczani byli do barbarzyńskich „eksperymentów medycznych”. Podczas wizyty w Dachau w 1942 r. Heinrich Himmler osobiście wybrał 20 spośród nich do tych „doświadczeń”. Później ten sam los spotkał kolejnych 120 księży.

Losy prastarej diecezji płockiej nie różniły się od pozostałych obszarów okupowanej ojczyzny, wręcz pod wieloma względami w martyrologium swoim tragicznie je przewyższały. Już

5.09.1939 r. w wyniku bombardowań zniszczono katedrę plocką (funkcjonowanie liturgiczne przywrócono dopiero w 1945 r.). W październiku 1939 r. rozpoczęło się prześladowanie duchowieństwa diecezjalnego, pierwsze aresztowania, tortury i egzekucje. 28.02.1940 r. wywieziono do Słupna pod Płockiem arcybiskupa Antoniego Juliana Nowowiejskiego, w kilka dni później dołączył do niego internowany biskup pomocniczy Leon Wetmański. W Słupnie biskupi przebywali do 7.03.1941 r., następnie wywieziono ich do obozu koncentracyjnego w Działdowie. 28.05.1941 r. męczeńską śmiercią zginął ks. arcybiskup, a 10 października ks. biskup Leon Wetmański. Stolica biskupia plocka została pusta do końca wojny. Pomimo tak dotkliwej straty kościół plocki trwał, służąc ludowi Mazowsza ze wszystkich sił, chociaż sił ubywało każdego dnia, każdego miesiąca miały miejsce kolejne represje, aresztowania, często egzekucje duchownych.

Oto kilka przykładów: w Płocku od 5 do 8 kwietnia aresztowano i wywieziono najpierw do obozu w Działdowie, później do Dachau pięciu plockich księży: ks. Bronisława Artke, ks. Wawrzyńca Foksa, ks. Leona Kulasińskiego (przeprowadzano na nim pseudonaukowe eksperymenty medyczne, w wyniku których zmarł w wieku 30 lat), ks. Lecha Grabowskiego (celowo zarażony malarią przeżył gehennę obozu). 18.02.1941 r. aresztowano ośmiu księży (m.in. profesorów seminarium plockiego), w tym samym roku uwięziono kolejnych sześciu. W całym Płocku pozostało dwóch kapłanów, starając się sprostać potrzebom duchowym mieszkańców.

Kolejny przykład – dekanat gostyniński. W Duninowie po wywiezieniu do obozu ks. Ryglewiczka od sierpnia 1940 r. kościół był nieczynny. W Gostyninie 1.12.1939 r. hitlerowcy rozstrzelali w lesie koło Woli Łąckiej 3 księży wikariuszy, którzy ofiarowali swoje

życie w zamian za życie ich proboszcza ks. Kaczyńskiego. Na niewiele jednak zdało się ich poświęcenie. Ks. dziekan Kaczyński również został wkrótce aresztowany i zamęczony. Kościół pozostał zamknięty. W Dachau zginął ks. Szczepkowski z Sokołowa, ks. Szalkiewicz z Solca, ks. Chyczewski z Suserza, ks. Łebkowski ze Szczawina, ks. Bytof z Trębek, a kierowane przez nich świątynie parafialne zostały zamknięte. W całym dekanacie gostynińskim od 1940 do 1945 r. nie było żadnego kapłana, wszyscy zostali zamordowani. Pozostaje pytanie, jak radzili sobie ludzie. Radzili sobie, bo mocno wierzyli – przechowali skarb wiary do powrotu księży.

Podobnie było w innych dekanatach naszej diecezji. W czasie wojny śmierć męczeńską poniósł co trzeci ksiądz naszej diecezji, a ci, którzy przeżyli, w ogromnej części byli więźniami obozów koncentracyjnych. Wśród zamordowanych w Dachau byli księża z ziemi ciechanowskiej – wielce zasłużony ks. Wincenty Chabowski, budowniczy kościoła w Sochocinie, a od 1928 r. proboszcz fary ciechanowskiej, ks. Teodozjusz Brudnicki – proboszcz Opinogóry oraz proboszcz z Łopacina ks. Jaźwiński.

Dlaczego tyle wspomnień? Możecie Państwo powiedzieć: *Trzeba z młodymi naprzód iść po życie sięgać nowe, a nie w uwiędłych laurów liść z uporem stroić głowę.* A ja odpowiem: *Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy, choć sami macie doskonalsze wznieść. Na nich się święty ogień żarzy i wy winniście im cześć!* Obawiam się, że dzisiaj – zapominając o historii, budzimy stare demony – które zasną znowu, jedynie nasyciwszy się ludzką krwią. Tyle w nas złości, nienawiści, zawziętości, chęci oskarżania innych, wybielania siebie. Piszę to też dlatego, aby prosić Państwa, by zbyt pochopnie nie oceniali Kościoła – to on pierwszy płacił przecież krwią.

Ks. Jarosław Arbat

ŚW. LEONARD

Jest to patron parafii w Łopacinie i współpatron tamtejszego kościoła. Parafia łopacińska powstała w pierwszej połowie XV wieku i początkowo, tak jak kolejno stawiane tu dwa kościoły, była pod wezwaniem Dziesięciu Tysięcy Rycerzy Męczenników. Świątynie pod tym wezwaniem należą w Polsce do rzadkości. Samo wezwanie znane jest w kilku formach – jako „Dziesięciu Tysięcy Męczenników”, „Dziesięciu Tysięcy Rycerzy Męczenników” lub „Dziesięciu Tysięcy Męczenników z Góry Ararat”. Byli to żołnierze cesarza rzymskiego Hadriana (117 – 138), stacjonujący na najdalejszych wschodnich krańcach cesarstwa, w sąsiadującej z Armenią Kapadocji. Tam poznali życie chrześcijan, którzy przybyli do Armenii już w drugiej połowie I wieku i postanowili przyłączyć się do tej społeczności. Cały, dziesięcioletni legion rzymski wraz z dowódcą przyjął chrzest. Były to czasy prześladowań,



Chrzest Chlodwiga - Internet, domena publiczna

więc wszyscy – jako neofici wyznający wiarę w Chrystusa – zostali ukrzyżowani na górze Ararat. Ich relikwie rozsiane są w świątyniach po całej Europie. W średniowieczu powstało wiele kościołów pod ich wezwaniem, a także poświęcano im liczne ołtarze, chociaż w Polsce świątynie Męczenników z Góry Ararat były zawsze nieliczne. Obecnie pod wezwaniem Dziesięciu Tysięcy Męczenników są kościoły w Niepołomicach (woj. małopolskie), Turkowach (woj. wielkopolskie), Sadkowicach (woj. łódzkie) i Trzebieszowie (woj. lubelskie).

Dopiero trzeci kościół łopaciński z 1781 r. otrzymał imię św. Leonarda, takim wezwaniem objęto również parafię. Od tej pory parafia wciąż nosi taki tytuł, a obecny kościół, wybudowany już po wojnie i konsekrowany w 1953 r., otrzymał podwójny tytuł: Narodzenia Najświętszej Maryi Panny i św. Leonarda.

Leonard jest imieniem pochodzenia germańskiego i oznacza „silnego jak lew”. W katalogu kościoła katolickiego znalazło się aż sześć świętych o tym imieniu, a łopacińskim patronem jest najbardziej znany św. Leonard z Limoges, żyjący w latach 466 – 559. Pochodził ze znakomitej rodziny frankońskiej, zaprzyjaźnionej z królem Franków Chlodwigiem w takim



Leonard w pustelni - Internet, domena publiczna



Kolegiata St Leonardd - Internet, domena publiczna



Kościół w Łopacinie - fot. Archiwum Starostwo Powiatowe



Św. Leonard - Internet, domena publiczna

stopniu, że władca został nawet chrzestnym Leonarda, a później wziął go na dwór królewski. Młody rycerz łączył ponoć urodę z nadzwyczajnymi zaletami duchowymi, a w końcu idąc za głosem serca, wstąpił do stanu duchownego. Z takim przekonaniem i pasją głosił słowo Boże, że nawrócił wielu pogańskich Franków. Odwiedzał i pocieszał więźniów, dla niesłusznie skazanych lub skruszonych wypraszał zwolnienie od kary.

Ażeby uniknąć zaszczytnych stanowisk w hierarchii kościelnej, do przyjęcia których

usiłował zmusić go władca, Leonard złożył śluby zakonne. Pod wpływem bogobojnego opata benedyktyńskiego umartwiał się i doskonalił duchowość, a po jego śmierci wystąpił z klasztoru i rozpoczął życie pustelnicze. Żył bardzo ubogo, korzystając jedynie z dobrodziejstw natury. W lesie zwanym Noblakiem, w pobliżu swojej pustelni Leonard wybudował niewielki kościółek ku czci Najświętszej Maryi Panny. Obok założył klasztor, którego został pierwszym opatem. Przychodziły do niego tłumy, prosząc o poradę, wstawiennictwo, opiekę duchową, pomoc i pociechę. Podobno przez modlitwę uwalniał niewinnych więźniów, których nawet nie widział na oczy, kiedy w cudowny sposób kruszyły się ich kajdany. Na pamiątkę tego łańcuch i kajdany zostały atrybutami św. Leonarda.

Leonard zmarł prawdopodobnie w 559 r. Pochowany został w wybudowanym przez siebie kościele. Jego grób stał się natychmiast celem licznych pielgrzymek, zarówno prostych ludzi, jak i władców oraz dostojników kościelnych. Dzisiaj nad miejscem jego wiecznego spoczynku, w niewielkim miasteczku Saint Leonard de Noblat w południowej Francji, wznosi się okazała, trzynastowieczna kolegiata, do której turystów przyciąga grób świętego.

Św. Leonard był popularny w średniowiecznej Europie zachodniej. Ku jego czci wystawiono wiele kościołów i kaplic, także w Polsce, o czym świadczy krypta św. Leonarda w katedrze wawelskiej (przełom XI i XII w.). W czasie wypraw krzyżowych był czczony jako patron jeńców wojennych i wielu rycerzy przypisywało mu uwolnienie z rąk nieprzyjaciela. Obrano go patronem kobiet ciężarnych i dobrego porodu, położnych, koni, bydła oraz hodowców tych zwierząt, jest opiekunem więźniów i chorych, zwłaszcza cierpiących na choroby umysłowe; do niego uciekają się w bólach głowy oraz zagrożeni napadem lub kradzieżą. Zapracowany



Krypta św. Leonarda na Wawelu - Internet, domena publiczna

św. Leonard jest w zachodniej Europie patronem także rolników, stajennych, bednarzy, górników, kowali, ślusarzy, transportowców oraz handlujących owocami.

W Polsce kult św. Leonarda był żywy w czasie średniowiecza i do dzisiaj zachowało się kilka świątyń pod tym wezwaniem. Od tego imienia wywodzą się liczne nazwiska – Lenart, Lenard, Lenert, Lenarcik i inne, chociaż samo imię zawsze było rzadko spotykane, a dzisiaj prawie wcale nie występuje. Wspomnienie liturgiczne św. Leonarda przypada 6 listopada, na pamiątkę daty jego śmierci. W Łopacinie w tym dniu przypada odpust, przekładany na najbliższą niedzielę.

Legenda mówi, że Leonard był rycerzem na dworze władcy Franków, walczącego prawie całe życie o zjednoczenie mieszkańców Galii. Przed jedną z ważnych bitew władca złożył przysięgę, że jeżeli zwycięży – przyjmie chrzest. Tak się stało, i król, a z nim wielu rycerzy z Leonardem włącznie, odrzucili pogańskie

wierzenia. Leonard szybko zdobył szacunek i ogólne przekonanie ludu o jego świętobliwości. Kiedy wycofał się z dworskiego życia i osiadł w puszczy leśnej, całe dni spędzał na modlitwach i kontemplacji.

Pewnego razu kolejny król frankoński, wnuk Chlodwiga, z całym orszakiem wybrał się na polowanie w tym kompleksie leśnym. Jego ciężarna małżonka pozostała w pobliskim zamku. W końcu dla królowej nadszedł czas porodu. Niestety okazało się, że życie matki i dziecka jest w ogromnym niebezpieczeństwie. Miejscowi poradzili królowi, aby udał się po ratunek do świętego męża. Swoimi modłami pustelnik sprawił, że wszystko zakończyło się szczęśliwie, matka i dziecko przeżyli, a sam Leonard od tej pory uznany został za patrona dobrego porodu. Król z wdzięczności chciał obsypać go złotem i klejnotami, ale pustelnik prosił, aby kosztowności te rozdać potrzebującym.

Anna Bartoń

PEREGRYNACJA FIGURY MATKI BOŻEJ FATIMSKIEJ

Po uznaniu przez Kościół objawień fatimskich w 1930 r. przez papieża Piusa XI, podczas których Matka Boża wyjawiała w 1917 r. trojgu małym pastuszkom z portugalskiej Cova da Iria – Hiacyncie, Franciszkowi i Łucji – wielkie zagrożenie świata z powodu ludzkich grzechów i za ich pośrednictwem wzywała wszystkich do pokuty, nawrócenia i modlitwy różańcowej, wykonano wiele figur Matki Najświętszej z fatimskich objawień, spośród których cztery otrzymały misję pielgrzymowania po świecie i przypominania orędzia Niepokalanej. Peregrynację jednej z nich do Polski planowano już w 1947 r., ale ówczesna sytuacja polityczna uniemożliwiła zrealizowanie tego zamiaru.



Matka Boska Fatimska

Podobnie było w 1978 r., kiedy Matka Boża w swym znaku fatimskim przybyła 5 maja do Polski, w ramach tzw. Światowej Pielgrzymki Pokoju, podczas której odwiedziła m. in. Japonię, Izrael, Włochy i Francję. Władze komunistyczne dowiedziały się jednak o planowanym nawiedzeniu i postanowiły do niego nie dopuścić. Dlatego też odrzutowiec „Królowa Świata”, na którego pokładzie znajdowała się figura, odprowadzony został na boczny pas startowy na lotnisku Okęcie i przez kilkadziesiąt godzin pilnowany przez uzbrojonych strażników, a następnie zmuszony do opuszczenia terytorium Polski. Po raz drugi figura przybyła do naszego kraju – na bardzo krótko – w 1979, a potem w 1992 r. Zgoda na jej peregrynację po całym kraju wyrażona została dopiero w 1995 r., już po zmianach ustrojowych w Polsce. Przywieźli ją wówczas – 13.10.1995 r. – uczestnicy Narodowej Pielgrzymki Kościoła Katolickiego, której przewodniczył ks. kardynał Józef Glemp i wtedy właśnie rozpoczęła się wielka wędrówka Matki Bożej Fatimskiej po Polsce.

Peregrynacja figury Matki Bożej Fatimskiej w Polsce trwała od 13 października 1995 r. przez 40 tygodni. Patronat nad peregrynacją przyjęli Ojcowie Pallotyni; oni byli odpowiedzialni za całość organizacji. Matka Boża odwiedziła wszystkie diecezje. W naszej płockiej diecezji figura peregrynowała w dniach od 29 czerwca do 6 lipca 1996 roku. Podczas tej peregrynacji figura odwiedziła wszystkie dekanaty diecezji w liczbie 30, na wieczór i noc zatrzymywała się w większych ośrodkach duszpasterskich. W dekanacie ciechanowskim peregrynacja trwała od popołudnia 2 lipca do godzin

przedpołudniowych 3 lipca. Rozpoczęła się ona przy kościele św. Tekli, skąd wyruszyła uroczysta procesja światła do fary ciechanowskiej pod przewodnictwem biskupa Zygmunta Kamińskiego z licznym udziałem kapłanów, sióstr zakonnych oraz wielotysięcznej rzeszy wiernych z Ciechanowa i okolicznych parafii. Tak licznego zgrupowania wier-



Oczekiwanie na przybycie figury Matki Boskiej.

nym nie było w Ciechanowie od bardzo wielu lat i nie powtórzyło się do czasów obecnych. Nie było specjalistów od liczenia populacji ludzkiej, ale na pewno liczba uczestników przewyższała frekwencję na uroczystościach Bożego Ciała.

O Pani Fatimskiej i jej orędziu dla Polski pisał równo 20 lat temu w liście pasterskim ówczesny biskup płocki Zygmunt Kamiński: *Znaleźliśmy się w nowej sytuacji politycznej i ekonomicznej, która stawia przed nami nowe wyzwania. W tych nowych okolicznościach chcemy znów błagać Maryję o wstawiennictwo u Boga i łaskę nawrócenia, świadomi, że bez moralnego odrodzenia nawet najlepsze programy reform ekonomiczno-politycznych będą skazane na niepowodzenie. A więc peregrynacji towarzyszyło wtedy wezwanie do pokuty i nawrócenia, następnie dziękczynienie za odzyskaną wolność i za Jana Pawła II, którego uratowała Maryja w dniu objawień fatimskich 13 maja 1981 r. W czasie nawiedzenia będziemy prosić Maryję, aby wyprosiła dla naszego narodu łaskę nawrócenia i pojednania, przebaczenia i wzajemnej miłości, aby pomogła nam rozwiązać problemy*

związane z osłabieniem wierności Chrystusowi, z brakiem szacunku dla ludzkiego życia, z rosnącą przestępczością, bezrobociem, z alkoholizmem i narkomanią, ze wzrostem postaw konsumpcyjnych, z odrzucaniem zasad moralnych w życiu politycznym, gospodarczym i społecznym – te słowa biskupa pozostają wciąż aktualne.

Parafia farna św. Józefa przygotowała się na peregrynację podczas trzydniowych okolicznościowych rekolekcji, prowadzonych przez Ojca Antoniego Redemptorystę. Uroczysta msza św. została odprawiona na ołtarzu polowym pod Farską górą, a po niej do północy trwały modlitwy prowadzone przez różne grupy



Procesja z kościoła św. Tekli do fary ciechanowskiej



Wniesienie figury Matki Boskiej do fary po pasterce maryjnej

modlitewne. Kulminacyjnym punktem Nawiedzenia Figury Matki Bożej była pasterka maryjna, odprawiona pod przewodnictwem biskupa płockiego Zygmunta Kamińskiego. Plac przed górą Farską wokół ołtarza polowego oraz końcowy, rozszerzony fragment ulicy ks. P. Ściegiennego wypełniony był wiernymi, którzy przybyli na tę uroczystość ze świecami i lampionami. Płomiennie kazanie wygłosił główny celebrans, a w jego głosie i na obliczu malowała się głęboka radość duszpasterska, co można dostrzec na załączonej tu fotografii. Wraz z Maryją powtarzaliśmy: *Uwielbiaj duszo moja Pana i raduje się duch mój w Bogu, Panu naszym.*



Kazanie Biskupa Płockiego Zygmunta Kamińskiego podczas pasterki maryjnej

Z piedestału ołtarza popłynęły słowa zawierzenia. Po pasterce maryjnej figurę uroczystie wniesiono do kościoła farnego i tu trwało modlitewne czuwanie do godzin południowych następnego dnia, gdy wyniesiona została procesjonalnie do ołtarza polowego pod górą Farską i tu po pożegnaniu wyruszyła na dalszą pielgrzymkę po diecezji płockiej.

W Ciechanowie jako wotum wdzięczności za nawiedzenie powstała parafia pw.

Matki Bożej Fatimskiej. Biskup Zygmunt Kamiński był pod wrażeniem peregrynacji figury Matki Bożej z Fatimy i widział tłumy ludzi zgromadzonych na procesji światła w Ciechanowie z klasztoru na Farską górę. To było niezwykle przeżycie. Gdy później biskup mówił mi o mającej powstać w mieście nowej parafii, myślałem o patronce – św. siostrze Faustynie, ale on powiedział mi wprost: *Weź Matkę Bożą Fatimską* – wspomina wydarzenia sprzed lat ks. kan. Jan Józwiak, proboszcz parafii Matki Bożej Fatimskiej.

Peregrynacja Matki Boskiej Fatimskiej była wspaniałym wyznaniem wiary wiernych chrześcijan z Ciechanowa, którzy mogą się poszczycić niecodziennym świadectwem gorliwości religijnej, bowiem w tym mieście podczas ostatnich 40 lat powstały cztery nowe parafie z nowo wybudowanymi kościołami, plebaniami i całym zapleczem gospodarczym. Nie zapominajmy o tym w obecnym czasie, który wydaje się dla wiary katolickiej szczególnie trudny. Matka Boża ukazująca się w Fatimie obiecała: *W końcu moje Niepokalane Serce zwycięży.*

Oprac. ks. prał. dr Ireneusz Wrzesiński
Zdjęcia ze zbiorów autora

CIECHANOWSCY

SENIORZY WSPOMINAJĄ...

To był najszczęśliwszy okres w moim życiu, mówi o swoim przedwojennym dzieciństwie w Ciechanowie pani Hanna Morawska-Tybuchowska. Niewielki drewniany dom przy ul. Orylskiej z pewnością znają wszyscy, zwłaszcza starsi ciechanowianie. Od ponad osiemdziesięciu lat jego historia jest wpisana w życie pani Hanny Morawskiej-Tybuchowskiej, która wspomina zarówno radosne, jak i dramatyczne chwile swojego dzieciństwa.

„Drewnianą perełkę” zakupili moi rodzice, Matylda i Albin Morawscy, w listopadzie 1935 r. od Franciszka Michalskiego, który dom wybudował, ale w nim nie zamieszkał. Mojemu ojcu podobał się i dom, i atrakcyjna działka, sięgająca aż do ul. Płońskiej, co stwarzało w przyszłości szansę budowy kamienicy. Zakup nowego, gotowego do zamieszkania domu miał zachęcić moją mamę do sprowadzenia się wraz ze mną, wówczas roczną dziewczynką, do męża, do Ciechanowa. Ojciec podobno szalał z radości, kiedy się urodziłam, dlatego starał się sprowadzić do miasta żonę – nauczycielkę z dzieckiem – z Gołymina, gdzie mieszkaliśmy. Dojazdy z Ciechanowa do Gołymina były dla taty bardzo uciążliwe i czasochłonne, gdyż w latach 30. ubiegłego wieku komunikacja publiczna praktycznie nie istniała. Każda wyprawa do Gołymina oznaczała przeróżne przygody i kłopoty. Mamie jednak nie spieszyło się do Ciechanowa. W Gołyminie miała przyjaciół, pracę i wspaniałą atmosferę. Bardzo dobrze się tam czuła, przyjaźnie przetrwały wiele lat. Szczególna serdeczność łączyła mamę z rodziną państwa Gołaszewskich.

Pani Jadwiga Gołaszewska (babcia prof. Jerzego Bralczyka) była cudowną osobą – jako

dziecko chciałam, żeby była moją babcią. Rozpieszczała mnie smakołykami, a ja byłam przez nią tak przyzwyczajona do różnych słodkich prezentów, że oczekiwałam ich także od innych osób. Kiedyś

byłyśmy z mamą z wizytą u córki pani Gołaszewskiej, Zosi. Wsiadając na furmankę po tej wizycie, rozżalona stwierdziłam: *Jak na dlogę, to nic nie dała*, co wzbudziło ogromne rozbawienie. Ta scenka była mi wielokrotnie przypominana, już w dorosłym życiu.

Dlaczego moja mama pojawiła się w Gołyminie? Jej życie to historia „siłaczki”, która podjęła odważną decyzję o wyjeździe z Warszawy na prowincję, do pracy w szkole, żeby się usamodzielnic. Mama – Matylda z d. Truskowska – urodziła się w Pułtusku w dość zamożnej rodzinie. Jako małe dziecko straciła matkę i mimo oporu ojca trafiła do siostry swej matki w Warszawie. Ojciec pogodził się w końcu z tą sytuacją, miał już dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa i ożenił się później ponownie – z przyrodnim rodzeństwem mama utrzymywała kontakt w dorosłym życiu.

Mała Matylda była wychowywana w bardzo zamożnym domu mieszczańskim, należącym do przybranej matki i jej brata, którzy rozpieszczali i kochali córkę swojej nieżyjącej siostry. Ukończyła w Warszawie prywatną pensję dla dziewcząt, nie mogła jednak studiować, bo już pojawiały się pierwsze problemy z jej wzrokiem.





Mała Hania z rodzicami



Albin Morawski

Sytuacja zmieniła się, gdy wuj się ożenił. Jego żona chyba nie była zachwycona obecnością siostrzenicy małżonka. Po śmierci swojej przybranej matki, która jako najstarsza dyrygowała dotychczas domem, mama zdecydowała się wyjechać i znaleźć pracę, choćby na prowincji. Panienska z dobrego, zamożnego domu, delikatna dziewczyna, która dotąd nie musiała samodzielnie nawet zawiązywać butów, nieznająca żadnej domowej pracy, wyprowadziła się do Gołymina, żeby uczyć wiejskie dzieci. Zdana wyłącznie na siebie, musiała szybko nauczyć się życia i pracy. Pokochała ludzi w Gołyminie, a oni pokochali ją, dlatego nie chciała się stamtąd wyprowadzać ani po zamęściu, ani po urodzeniu dziecka.

Swojego przyszłego męża, mojego ojca Albina Morawskiego, poznała, gdy jako pracownik syndykatu w Ciechanowie organizował filię w Gołyminie. Pozycja ojca wydawała się rodzinie mamy zbyt słaba, więc wiadomość o planowanym małżeństwie przyjęli bez entuzjazmu i ze

złośliwym komentarzem, że *Morawscy u Czartoryskich na klamce wiszą*. Było to odniesienie do rodziny ojca, jego rodziców Bronisławy i Adama Morawskich, związanych z rodem Czartoryskich. Dziadkowie mieszkali w dworku Czartoryskich niedaleko stacji kolejowej w Ciechanowie. Dziadek zajmował się transportem różnych dóbr rodziny Czartoryskich z Krasnego, zarówno wysyłanych, jak i przywożonych drogą kolejową.



Domek – lata osiemdziesiąte XX wieku



Ostatnie przedwojenne
zdjęcie Hani

Małżeństwo rodziców okazało się jednak udane, były w nim miłość, szacunek i zrozumienie. Jedynym zgrzytem na początku było to, że mama niechętnie podchodziła do sprawy wyprowadzenia się z Gołymina.

A i dla mnie było to miejsce szczególne. Pamiętam do dziś, jak wyglądało nasze wynajmowane od państwa Olechowskich mieszkanko i jakie tam były meble. Nie pamiętam tylko momentu, o którym wiele razy mówiła moja

mama, kiedy powiedziała ku jej ogromnemu zaskoczeniu swoje pierwsze zdanie. W piękny wieczór niosła mnie, roczną dziewczynkę, na rękach, a ja na widok księżycy powiedziałam: *Patrz, mama! Księżyc!* Mama popłakała się ze wzruszenia, bo wcześniej niewiele mówiłam.

Zanim na stałe przenieśliśmy się do nowego domu na Orylską, wiele czasu spędzałam u babci Morawskiej, w dworku Czartoryskich, zwłaszcza w otaczającym go pięknym sadzie. Pilnował tego zaczarowanego miejsca Żyd, postać tajemnicza jak czarnoksiężnik z baśni. Lubiałam go podglądać, zwłaszcza gdy się modlił, ale nie wolno było mu w tym przeszkadzać. Z dziecięcą ciekawością i strachem skradałam się cichutko, żeby odebrać od stróża sadu specjalny prezent – *najpiękniejsze jabłuszko dla pięknej dziewczynki*, jak zawsze przy tej okazji mi powtarzał. W ogrodzie często odbywały się nasze rodzinne spotkania, z poczęstunkami na rozłożonych na



Matylda i Albin Morawscy

trawie obrusach. U babci spotykałam też żydowską rówieśnicę Hanię – dziewczynkę, z którą bardzo się lubiłyśmy, może z powodu takiego samego imienia. Ten piękny sad uwielbiałam tak, że nawet w zimie domagałam się, żebyśmy tam szli, i byłam bardzo rozczarowana, że nie ma tam mojego czarnoksiężnika ani jabłek na drzewach.

Do domu na Orylskiej wprowadziliśmy się w 1936 r. W notatniku mojej mamy, który mam do dziś, są zapiski dotyczące zakupów mebli i sprzętów domowych oraz urządzania ogrodu na sporej wówczas działce, gdzie posadzono m.in. brzoskwinię, grusze, jabłonie, wiśnie i dużo krzewów ozdobnych. Ulica Orylska była w tym czasie wąska, a po deszczu tak błotnista, że przejść można było jedynie pod płotami. Na spacerach chodziłyśmy z mamą na główną ulicę, Warszawską. Na naszej trasie znajdowała się cukiernia ze wspaniałymi ciastkami, które przynosiłyśmy do domu. Mama już nie pracowała w szkole, przeszła na rentę z powodu coraz bardziej słabnącego wzroku. Spędzałyśmy razem dużo czasu.

W targowe dni wyprawiałyśmy się z mamą, nianią i gosposią w miejsce, gdzie wówczas odbywał się handel, pod ceglany mur wzdłuż ratusza w kierunku rzeki. Stały tam wiejskie kobiety (zimą okutane chustami), sprzedające drób, jaja, masło, sery. Przekrzykiwania targujących się kobiet i pisk wystraszonego



Mała Hania



*Mama (stoi) z ciotką Walentyną,
która ją wychowała*

ptactwa tworzyły prawdziwy spektakl. Lubiłam oglądać to widowisko – może już wtedy pojawiła się miłość do teatru, która zaowocowała w dorosłym życiu? Na rynku, przed ratuszem, stały furmanki – tu handlowano zwierzętami (świniami, cielętami, owcami). Sprzedawano także solone śledzie z dużych beczek – tym handlem zajmowali się Żydzi. Konsumpcja słonych specjalów na miejscu była powszechna.

Atrakcją mojego dzieciństwa było też przedszkole, do którego zostałam zapisana. Prywatne przedszkole pani Różańskiej mieściło się na pierwszym piętrze budynku, w którym obecnie znajduje się Muzeum Szlachty Mazowieckiej. W tej placówce przebywały dzieci znanych, zamożnych rodzin, m.in. doktora Purzyckiego, państwa Wesołowskich, doktor Kamińskiej. Z tamtego okresu przetrzymuję szczególną

pamiątkę – bilecik wizytowy, na którym mama mojej przedszkolnej koleżanki, Bisi Kamińskiej (obecnie prof. Bibiany Mossakowskiej) zaprasza mnie na dziecięce spotkanie w domu państwa Kamińskich (dziś budynek poczty na rogu ulic Płońskiej i Grodzkiej).

W przedszkolu słuchaliśmy bajek, wierszy, tańczyliśmy. Z tego czasu pamiętam też Józia, który jako osoba bezdomna (i pewnie często zziębnięta) oczekiwał na otwarcie przedszkola, żeby choć trochę się ogrzać przy grzejniku na korytarzu. Początkowo bardzo się go bałam, ale mama pomogła mi przełamać strach. Przygotowała bułki dla Józia i zachęciła, żebyśmy mu razem je podarowywały. Chociaż wystraszona, jakoś się jednak odważyłam podejść i odtąd codziennie przynosiłam Józiowi śniadanie. A on czekał i zawsze się radował na mój widok.



Ślub rodziców w Gołyminie

Dzieci z uboższych rodzin uczęszczały do ochronki na ul. Orylskiej w białym budynku stojącym szczytem do ulicy (dziś budynek socjalny miasta za Domem Nauczyciela).

Oprócz przedszkola, spacerów i zakupów wielką radość sprawiały mi dość częste wyjazdy z mamą do znajomych do Ościsłowa i spacerów w pobliskim lesie. Wyjeżdżałyśmy też do rodziny pod Warszawę (m.in. do Podkowy Leśnej) oraz do samej Warszawy. Po moich narodzinach relacje z rodziną mamy, obrażoną jej wyjazdem na prowincję i zamążpójściem, bardzo się poprawiły. Wujostwo często nas do siebie zapraszali, a z tatą omawiali różne ważne sprawy. W Warszawie mieszkała także siostra ojca, moja matka chrzestna, która miała perfumerię na ulicy Trębackiej obok teatru. Przychodziły tam aktorki i inne wytworne panie.

Ciocia obdarowywała nas miłymi, pachnącymi prezentami, to od niej dostałam przedwojenne, francuskie perfumy, które otworzyłam dopiero w dniu swojego ślubu.

Wuj, u którego mama się wychowała, miał olbrzymie, piękne mieszkanie w śródmieściu Warszawy. Pamiętam w detalach wystrój i rozkład tego apartamentu, a zwłaszcza bibliotekę w oddzielnym, półokrągłym pokoju i wielki salon z fortepianem. Na instrumencie leżała czaszka ludzka (syn wuja studiował medycynę), która mnie trochę przerażała, dlatego do klawiatury podchodziłam nieśmiało, w towarzystwie mamy. Drugi wuj (cioteczny brat mamy) miał w Łazienkach „mleczarnię” – lokal z pysznymi deserami. Warszawskie atrakcje nie robiły na mnie jednak szczególnego wrażenia. Zapytana wówczas po kolejnym powrocie z Warszawy: *Jak ci się, Hanusiu, podobało?*, odpowiedziałam: *Domy to i duże, ale ludzie tacy sami.*

Pierwsze trzy lata zamieszkiwania na Orylskiej, aż do wojny, bez przesady mogę nazwać sielankowym dzieciństwem, najszcześniejszym okresem w moim życiu. Z tego szczęśliwego czasu dość wyraźnie zapisało się w mojej pamięci pierwsze zetknięcie ze szkołą. Mieszkająca u nas na poddaszu pani Maria Lipińska, nauczycielka ze szkoły po drugiej stronie ulicy, chciała mi pokazać, jak wyglądają lekcje w pierwszej klasie. Poszłam z nią, wystrojona odświętnie z niebieską kokardą we włosach, usiadłam w pierwszej ławce i trochę onieśmielona słuchałam odpowiedzi małych uczniów. W pewnym momencie, zachęcona przez panią Marię, odpowiedziałam na zadane pytanie i zostałam nawet pochwalona.

Byłam oczarowana szkołą, dopóki w drzwiach klasy nie pojawił się wysoki, potężny mężczyzna, który wprowadził dwóch chłopców, trzymając każdego za ucho. Jednemu z chłopców z ucha ciekła krew. Byłam niesamowicie przerażona tą sceną, dlatego zapytana przez mamę o wrażenia



Moja mama z panią Golaszewską
i jej córką Jadwigą

ze szkoły, złapałam się za uszy i krzyczałam: *Ja nigdy do szkoły nie pójdę! Czy wiesz, że tam obrywają uszy? A ja chcę mieć uszy!*. Pani Maria próbowała załagodzić sytuację, tłumacząc, że chłopcy uciekli ze szkoły, pobili się i dyrektor Deręgowski przyprowadził ich do klasy. Te wyjaśnienia niewiele pomogły. Postanowiłam, że do szkoły chodzić nie będę. Niebawem okazało się, że do szkoły nie pójdę, ale z zupełnie innego powodu. Moje zamierzenie zrealizował... Hitler.

Coraz częściej osoby odwiedzające moich rodziców powtarzały pytanie: *Czy będzie wojna?*. Nie bardzo wiedziałam, o co chodzi i co znaczy słowo „wojna”. Pierwszym, dość nieprzyjemnym zetknięciem z atmosferą zagrożenia była konieczność przymierzenia masek przeciwgazowych, przyniesionych dla nas przez ojca. Maski rozdawano, bo obawiano się użycia gazów

bojowych, jak w czasach I wojny światowej. Tata tłumaczył, że maska może uratować życie, przymierzył swoją. Głośno protestowałam, mówiąc, że *wygląda jak małpa* i nie chciałam słyszeć o założeniu tego paskudztwa. Wreszcie, po namowach, pozwoliłam, żeby mi założono maskę, ale szybko ją zdjęłam.

Tata opowiadał też o zbiorce złota dla polskiej armii, sam zaniósł kilka sztuk jakichś precjozów mamy. Zbiórkę prowadzono w budynku obecnej siedziby WKU na ulicy Orylskiej. Tam też był świadkiem sceny, gdy bardzo młode małżeństwo zdejmowało obrączki, mówiąc: *Tylko to możemy oddać dla Polski, a małżeństwem i bez obrączek będziemy*. To była prawdziwa miłość do ojczyzny, dziś trudna do wyobrażenia.

W tym czasie odbywały się emocjonujące rozmowy moich rodziców na temat ucieczki z Ciechanowa w związku z nadciągającą wojną. Ojciec uznał, że wyjedziemy do Warszawy, bo na pewno będzie najlepiej broniona. Mama uważała, że to zły pomysł, bo stolicę będą chcieli zniszczyć jako ośrodek władzy. W końcu zabrałyśmy najcenniejsze rzeczy (posag mamy) i pojechałyśmy z mamą do wuja do Warszawy. Nasze precjoza ukryto w rodzinnych sejfach w dwóch domach wujostwa. Bomba spadła na jeden z domów i po skarbach rodzinnych niewiele zostało. Mama, przekonawszy się, że Warszawa jest niebezpieczna, wróciła ze mną do Ciechanowa, gdzie ojciec już szykował się, żeby dojechać do nas, do Warszawy. Gdy nas zobaczył, dosłownie się wściekł i ostatnim autobusem zabrał nas z powrotem do stolicy. Droga już była zapchana uciekinierami. Jeszcze wtedy ta trwająca cały dzień podróż wydawała mi się jakąś przygodą, zabawą w chowanego, nawet gdy ukrywaliśmy się przed nalotami w rowie.

Przybyliśmy do Warszawy, ale wuj z ojcem szybko zdecydowali, że wyślą nas na wieś do majątku wuja pod Jadów (dziś powiat wołomiński). Majątek ten dzierżawił ogrodnik,

chyba zawieziono nas tam samochodem. W tym miejscu przeżyliśmy ciężkie dni, bo wszystko z ogrodu zostało rozkradzione, zostały tylko ziemniaki i trochę żółtych pomidorów na krzakach. Mama zdobyła dla mnie mleko za swój pierścionek, ponieważ pieniędzy już nikt nie chciał. Jedynym jedzeniem były wtedy mleko i kartofle. Radością był dla mnie słoik miodu, który mama zabrała ze sobą na ucieczkę, łyk słodczy poprawiał nastrój.

Pamiętam, jak wybrałyśmy się do Jadowa kupić coś do jedzenia i tam przeżyliśmy bombardowanie miasteczka. Schroniłyśmy się wraz z innymi w aptecce, której właściciel starał się uspokoić wszystkie dzieci; położył się z nami na podłodze i graliśmy w jakąś grę planszową. Nawet wówczas groza wojny do mnie nie dotarła, to była na razie przygoda z gatunku „nic złego się nie dzieje”.

Z majątku pod Jadowem postanowiliśmy jechać dalej, uciekaliśmy wynajętą furmanką, zatrzymując się w różnych dworach i miejscach. To były sceny jak z *Nocy i dni*, gry Barbara ucieka z płonącego Kalińca i zatrzymuje się w napotykanym dworach. Stodoły pełne uciekinierów, spanie na słomie lub sianie, różne nieznanne mi dotąd sytuacje.

W końcu dotarliśmy do rodziny leśniczego umówionego przez wuja. W leśniczówce była stabilizacja, jedzenie i towarzystwo córki leśniczego – Krysi, troszkę ode mnie starszej. To Krysia nauczyła mnie budować szałas, rozbijając namiot, dużo czasu spędzałyśmy na zabawach w lesie. Z tego bezpiecznego miejsca jednak niebawem wyruszyliśmy do domu, wuj i tata przyjechali po nas dziwnymi wozami na bardzo wysokich kołach. Wracaliśmy przez Wyszków, mosty już były zerwane, trzeba było się przeprawiać przez Bug. To były dantejskie sceny, tłumy ludzi z dziećmi i dobytkiem chciały przedostać się na drugi brzeg. Tam było jeszcze polskie wojsko, żołnierze pomagali przewieźć

dzieci na pontonach, ja na pewno byłam trzymana na rękach przez jakiegoś żołnierza. Z wielkim strachem czekałam na rodziców, którzy wciąż stali w tłumie przed przeprawą. Bałam się, że się zgubimy w tym chaosie. Wyszków był zrujnowany i zbombardowany; patrzyłam na jakiś wielki płat blachy, który – poruszany wiatrem – wydawał dziwny jęk, jakby płacz nad zniszczonym miastem.

Minąwszy Wyszków, pojechaliśmy do Pułtuska. Tam odpoczęliśmy u przyrodniego brata mamy, właściciela dużego gospodarstwa. Wuj wyposażył nas na dalszą drogę w zapasy żywności (mięso, mąkę, jaja, fasolę), bo wiedział, że wracamy do głodnej rzeczywistości. Po drodze zatrzymaliśmy się na noc w Gołminie u zaprzyjaźnionej rodziny państwa Gołaszewskich, a rano ruszyliśmy do Ciechanowa. W drodze kilka razy zatrzymywali nas żandarmi niemieccy, ale widząc śpiące na pierzynach dziecko, nie kontrolowali wozu zbyt dokładnie, więc bezpiecznie dotarliśmy do domu. Domek na Orylskiej czekał na nas stęskniony, nietknięty, nawet żadna szyba nie była zbita. Nikt nas nie okradł, wszystko było na swoim miejscu. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że wreszcie jesteśmy u siebie.

Dość szybko przekonałam się, że okupacyjna rzeczywistość Ciechanowa to inny świat niż ten przed wrześniem 1939 r. Najbardziej wstrząsające dla mnie wspomnienie dotyczy młodego chłopca, który wraz z innymi kopał doły na cmentarzu przy ulicy Płońskiej. Wiedział, że zginął, i dlatego zaryzykował ucieczkę. Pędził ulicą Orylską, już był przy bramie szkoły, na pewno chciał dobiec do ogrodu za szkołą i tam się ukryć, ale nie zdążył – żandarmi serią z automatu powalili go na ziemię. Straszny moment, gdy ciało zabitego chłopca drgało jeszcze w kałuży krwi, mam do dziś przed oczami i płacę na wspomnienie tej chwili. Stałam z mamą i ojcem, patrząc w osłupieniu w okno,

gdy nagle poczułam wilgoć na głowie. To były taty, który objął mnie i mamę, płakaliśmy razem. Wtedy spojrzałam na tatę i zapytałam: *To jest wojna, tato?*. Przez wiele lat nie byłam w stanie przejść po tym świętym dla mnie miejscu przy szkole, gdzie rozegrała się tragedia. To wydarzenie bezpowrotnie przerwało moje radosne dzieciństwo. Zrozumiałam, że wojna jest czymś strasznym i okrutnym.

W domu coraz więcej osób z naszej rodziny i z nią związanych z różnych powodów szukało schronienia, chcąc przetrwać trudny czas. Jednocześnie mieszkało tu nawet kilkanaście osób. Coraz częściej wpadali do nas żandarmi niemieccy, mówiąc, że musimy się wyprowadzić. Mama, znająca język niemiecki, wraz z jedną z naszych lokatorek (która studiowała w Gdańsku i mówiła po niemiecku), wielokrotnie negocjowały z Niemcami kwestię naszego pozostania na Orylskiej i sprawę wyprowadzki udawało się odwlec.

Wkrótce okazało się, że w szkole naprzeciwko Niemcy urządzą lazaret i nasz dom jest im potrzebny na biuro. Wszystkie osoby mieszkające u nas musiały się wyprowadzić. Byliśmy zrozpaczeni. Meble złożyliśmy w domu pana Olszewskiego w Gąskach, a sami zamieszkaliśmy u naszego kuzyna Purzyckiego w tzw. Alejce, jak nazywano ul. Sienkiewicza (Purzycki był właścicielem pięknej kuźni na Ostatnim Groszu). W pokoju na poddaszu domu kowala Purzyckiego spędziliśmy pierwsze wojenne Boże Narodzenie. Ojciec postarał się nawet o choinkę, więc mimo okupacji panowała świąteczna atmosfera.

Już na początku 1940 roku nakazano opuszczenie domów stojących w Alejce aż do stacji kolejowej, bo Niemcy zamierzali rozpocząć budowę nowej dzielnicy mieszkaniowej (dziś Bloki). Wczesną wiosną przenieśliśmy się więc do małego domku państwa Lipińskich w Gąskach. Zamieszkałam tam z mamą i babcią Morawską,

a tata z bratem wynajęli pokój w Kargoszynku (wówczas wieś naprzeciwko stacji kolejowej), żeby mieć bliżej do pracy w syndykacie. W niedziele tata do nas przychodził, odległość do Gąsek nie była zbyt duża.

W Gąskach mieszkaliśmy do końca wojny. Okres tych prawie pięciu lat obfitował w różne wydarzenia, z których kilka szczególnie zapamiętałam. Z pewnością ważnym, choć smutnym przeżyciem było aresztowanie taty. Uciekł, ale musiał się ukrywać. Wtedy nic z tego nie rozumiałam, choć wiedziałam, że czasem nocą się pojawia, myje, zmienia bieliznę, całuje mnie śpiącą i znika. Na pewno ukrywał się gdzieś blisko, bo pojawiał się co jakiś czas. Dziś wiem, że miał kryjówkę w Gąskach, pod chlewem pana Trętowskiego, który dawał schronienie osobom związanym z AK.

Inna historia z tamtych lat związana jest z mamą, która prowadziła w naszym mieszkaniu tajne nauczanie i przychodziło do niej kilkoro dzieci. Pamiętam dzień, gdy leżałam chora w łóżku, a mama prowadziła lekcję polskiego. Przez okno zauważyła żandarmów. Błyskawicznie zebrała książki i wrzuciła pod moją pierzynę. Niemcy weszli, rozejrzeli się i zapytali, dlaczego jest tu tyle dzieci. Mama bardzo spokojnie odpowiedziała, że przyszły odwiedzić chorą koleżankę. Niemcy bali się wszelkich chorób zakaźnych, więc prawie natychmiast wyszli, a groźna sytuacja dobrze się skończyła.

Pamiętam także pojawienie się w Gąskach grupy „trupich czaszek”, czyli SS-manów, którzy wynajęli kwatery w wielu domach. Na początku wywołało to przerażenie na wsi, ale swoim pobytem nie stwarzali dla miejscowych żadnego zagrożenia. Zachowywali się kulturalnie, bardzo dbali o higienę, codziennie rano oblewali się wodą ze studni, co wzbudzało zdziwienie, a nawet podziw, zwłaszcza u wiejskich kobiet. Jeden z oficerów odwiedzał nas, bo z mamą mógł dyskutować po niemiecku o literaturze. Miał

podobno córkę w moim wieku, więc dla mnie był bardzo miły. Gdy kiedyś powiedziałam na podwórku coś dobrego o naszym gościu, jakiś chłopak ze złością krzyknął: *Hanka, jesteś głupia, oni mają czerwone ręce!*. Odtąd zaczęłam bacznie obserwować wypielegnowane dłonie Niemca, ale czerwieni nie widziałam. Powiedziałam temu chłopakowi, że mówi nieprawdę, a on na to: *Mają czerwone ręce, bo mordują Żydów*. Już wtedy nikt nie chciał mi powiedzieć, co się dzieje z moją przyjaciółką Hanią, Żydówką, więc pomyślałam, że może ci eleganccy Niemcy ją zamordowali. Byłam przerażona, dlatego zawsze wychodziłam z domu, gdy tylko odwiedzał nas ten szczególny gość.

Pobyt „trupich czaszek” trwał kilka miesięcy. Była to prawdopodobnie grupa, która zajmowała się likwidacją społeczności żydowskiej. Po ich wyjeździe sytuacja ludności wiejskiej gwałtownie się pogorszyła. Żandarmi niemieccy stosowali różne represje i dokonywali grabieży, m.in. zwierząt (zwłaszcza gęsi). W mojej pamięci dość mocno utkwiły tajemnicze wyprawy mamy, z koszykiem gdzieś na pole. Podejrzałam, że mama wkłada do tego koszyka jedzenie ze specjalnej skrytki w kredensie, a nawet moją kurtkę. Słyszałam już wcześniej, że we wsi podobno są Żydzi, pomyślałam nawet, że mama zaniósła kurtkę mojej przyjaciółce Hani, ale bałam się zapytać. Gdy sąsiad zagadnął mamę, czy słyszała, że we wsi byli jacyś ludzie, odpowiedziała z obojętną miną: *A co oni by tu robili?* i ucięła dyskusję. Widziałam mamę z tym koszykiem przynajmniej kilka razy, nie zdradziłam się jednak, że ją podglądałam, i nie zadawałam pytań.

Najbardziej dramatyczne wydarzenia miały miejsce w styczniu 1945 roku. Już czuło się bardzo duże napięcie. Mówiono, że będzie bombardowanie. Przenieśliśmy część rzeczy do jedyne murowanego domu z dużą piwnicą, należącego do rodziny Trętowskich. Zaczęła się strzelanina,

front przechodził przez Gąski, wszystko trzęsło się od wybuchów. Czołgaliśmy się do tego domu, ojciec zakrywał mi głowę swoimi rękami. W pewnym momencie kula świsnęła mi tuż przy skroni, ale cudownie ocalałam. W piwnicy stłoczeni byli ludzie z całej wsi, słychać było płacz i głośne modlitwy. Mama nie zeszła z nami do piwnicy, bo chciała przez chwilę pomodlić się w pokoju. Jakiś wewnętrzny głos kazał jej jednak wyjść, przeszła do kuchni, a wtedy wybuch zniszczył ściany pokoju. Tuman pyłu szedł do piwnicy, wybiegłam po schodach, krzycząc: *Gdzie jest moja mama?* Nagle zobaczyłam ją, wyłaniającą się z ciemności, i padliśmy sobie w ramiona.

Za parę minut pojawili się żołnierze rosyjscy. Wyglądali przerażająco: twarze cementowe od pyłu lub czarne od sadzy i potu. W tych bardzo młodych twarzach błyszczały oczy i białe zęby. Jedyne słowo, które powtarzali, to „pić”. Nalewaliśmy im wodę i mleko, a oni gasili ogromne pragnienie i pytali, jak daleko do Ciechanowa. Gdy usłyszeli, że 5 kilometrów, przez całe podwórze jak echo brzmiały słowa „tolka piac”, powtarzane z wyraźną ulgą, że już tak blisko. Mówili, że mają na dziś zadanie zdobycia Ciechanowa (był 17 stycznia 1945 roku). Po przejściu frontu na podwórzu leżały trupy Rosjan i Niemców – wkrótce zostały zabrane. Tak zapamiętałam zakończenie wojny.

Wcześniej, mieszkając w wynajętych pokojach, byliśmy z mamą rozżalone, że w tym czasie w naszym domu urzędują Niemcy. Funkcjonowało tu biuro lazaretu, a na poddaszu mieszkał kontuzjowany oficer niemiecki. Wiele lat po wojnie, w latach osiemdziesiątych, spotkałam go pod naszym domem. Przyjechał z żoną, żeby odwiedzić miejsce, gdzie spędzili „najszcześniejsze chwile swojego życia”. Okazało się, że z żoną, pracującą wówczas na lotnisku w Sokołówku, poznali się w kinie (nieistniejące kino „Nysa”), zakochali od pierwszego wejrzenia i zostali



Ulica Orylska – 1935 r.

małżeństwem. Mieli nawet bilety z tego seansu filmowego, który połączył ich losy. Pozwoliłam im wejść do mojego domu i przeżyć chwile wzruszeń na poddaszu, które dało im tyle szczęścia. Nie było już we mnie ani złości, ani żalu, że to właśnie przez Niemców moja rodzina musiała wynosić się z własnego domu.

Po wyprowadzce Niemców w styczniu 1945 roku dom był w bardzo dobrym stanie. *Tylko wstawić meble i mieszkać*, powiedziała mama, która jako pierwsza oglądała wnętrza po latach naszej nieobecności. Rodzice dość spokojnie zaczęli przygotowywać się do powrotu na Orylską. Nie sądzili, że coś czy ktoś może zagrozić ich odzyskanej własności. Znajomi pytali nawet: *A na co wy czekacie? Żeby wam ktoś dom rozbrał?*. Jak się okazało, niebezpieczeństwo było bardzo blisko, bo ledwo zaczęliśmy wnosić rzeczy, a pojawił się jakiś mężczyzna z rodziną (przedstawił się jako burmistrz) i oświadczył, że to on tu zamieszka. Moja zazwyczaj bardzo spokojna mama tym razem podniosła głos i oznajmiła, że to jej dom i nigdzie się stąd nie ruszy. *A wiecie, że teraz już nie ma prywatnej własności?*, powiedział z przekąsem intruz. Mama się jednak nie poddawała i wykrzyczała, że to nie kamienica, tylko mały rodzinny domek i ona

tu zostaje. Córka tych szczególnych „gości” złapała mnie za włosy i ściągnęła ze schodka. Zrobiła się awantura, ale rodzice nie ustąpili.

W odwecie prawie natychmiast przysłano Rosjan, których „burmistrz” do nas dokwaterował. Wspólne zamieszkiwanie było prawdziwą tragedią, o której trudno nawet mówić. Rosjanie (kobiety i mężczyźni)

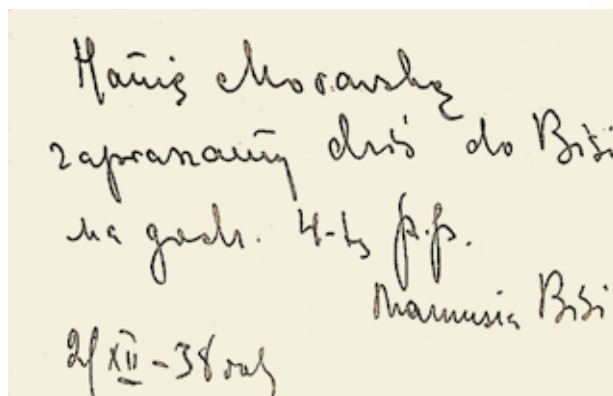
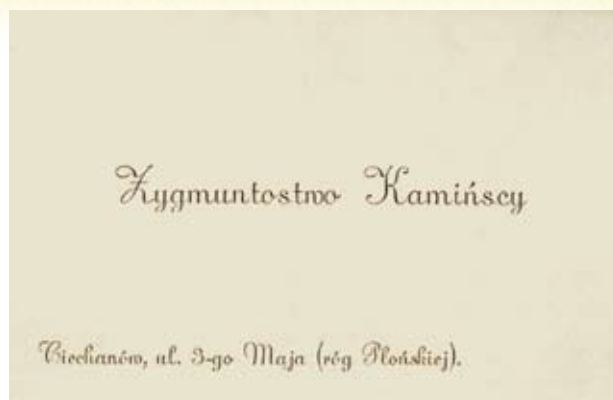
rozstawili w pokojach prycze, na których spali, pili, awanturowali się, uprawiali seks. Załatwiali się, nie wychodząc z domu, zdewastowali podłogi, piec, spalili ramy „podwójnych” okien. Z rosyjskim wojskiem nasz dom nawiedziła plaga pluskiew, z którymi trudno było walczyć, pomagało jedynie polewanie wrzątkiem miejsc gromadzenia się uciążliwych insektów. Rosjanie pojawiali się w kilku turach, ale nawyki mieli te same. Sceny, które rozgrywały się w czasie ich pobytu na Orylskiej, były swoistym widowiskiem. Mężczyźni (najczęściej pijani) na kolanach wyznawali miłość wybrankom. Kobiety starały się im przypodobać. Wybierając się na potańcówki, zakładały jedwabne, nocne koszule, zdobyte gdzieś po drodze. Uważały, że to piękne wieczorowe suknie. Zachwyciły się też trwałymi ondulacjami, które były dla nich symbolem luksusu i filmowego wyglądu. Chciały tymi fryzurami pochwalić się po powrocie do kraju, ale podobno to się nie udało, bo zmuszono je do ogolenia głów.

Kobiety w wojsku rosyjskim nie zawsze były dobrze traktowane. Pamiętam taką bidułkę w podartych butach, które przemakały, i w cienkich szmatkach – mimo zimna. Nie mogła doprosić się o cieplejsze buty. Wtedy mama,

wiedząc, że w przypadku Rosjan tylko działanie z pozycji siły ma znaczenie, ostro zwróciła się do jednego z „decyzyjnych” Rosjan. *Ona przez ciebie umrze, rozumiesz to?!*, krzyczała, zdjeta litością nad poniewieraną młodą kobietą. Pomogło, bo szybko znalazły się dobre buty, a nawet kufajka. Rosjanka ukłękła przed mamą, próbowała całować jej ręce, głośno łkała: *Nikt nie był dla mnie taki dobry jak wy.*

Po ostatecznej wyprowadzce rosyjskich żołnierzy można było wreszcie powoli doprowadzać dom do porządku, co było niezwykle trudnym wyzwaniem. Pierwsze miesiące powojenne były dla naszej rodziny niewyobrażalnie ciężkie – tata zachorował, mama nie otrzymywała renty, przetrwaliśmy dzięki pomocy brata ojca. Ja musiałam w tej sytuacji dość szybko wydorosnąć i zająć się sprawami, których rodzice z uwagi na stan zdrowia nie byli w stanie załatwić. Chodziłam po chleb wydawany na milicji (około 20 dag na osobę), stałam tam nierzadko w długich kolejkach. Sama pojechałam do wujostwa do Warszawy na ulicę Nowogrodzką, żeby przywieźć ocalałe resztki posagu mamy. Miałam wówczas 12 lat, więc samodzielna wyprawa w tak ważnej sprawie była ryzykowna, ale nikt mnie nie mógł zastąpić.

W początkach 1946 roku, gdy zlikwidowano już lazaret, poszłam zapisać się do szkoły na przeciwko. Wyglądałam jak mała nędzarka: za duża kurtka mamy, drewniane buty obite jakimś materiałem, zrobione przez mamę z resztek wełny skarpety pod kolana i licha czapka na głowie. Pamiętam moment, gdy weszłam do budynku bocznym wejściem, spojrzałam w górę i zaniemówiłam z przerażenia. Na schodach stał ten sam potężny mężczyzna, którego widziałam, będąc przed wojną w szkole z panią Marią Lipińską. W milczeniu patrzyliśmy na siebie, a ja miałam wrażenie, że ten człowiek wprost delektuje się moim nędznym wyglądem. Dopiero gdy zapytał: *Czego ty szukasz,*



Bilecik – zaproszenie

dziewczynko?, odzyskałam głos i powiedziałam, że chcę zapisać się do szkoły. Ten groźny z pozorów mężczyzna (dyrektor Deręgowski) odesłał mnie do dyrektora Owczarczyka i wtedy odechnęłam z ulgą, bo był to nasz znajomy z ulicy Orylskiej. Mieszkał obok obecnego WKU, z jego siostrzenicą chodziłam później do jednej klasy i spędzałyśmy ze sobą wiele miłych chwil w tej szarej, powojennej rzeczywistości.

Moje dzieciństwo odeszło jednak do historii, bo choć wciąż jeszcze byłam dzieckiem i chodziłam do szkoły, miałam już dorosłe obowiązki. Pozostałam w domu na Orylskiej i przeżyłam tu kolejne etapy swojego życia: młodość, życie zawodowe, lata szczęśliwego małżeństwa. W tym ukochanym miejscu mieszkam nadal, a każdy kąt przypomina mi o dawnych cudownych chwilach.

Wspomnienia spisała Ewa Gładysz

Zdjęcia ze zbiorów Hanny Morawskiej-Tybuchowskiej

MAZOWIECKICH ODPUSTÓW CZAR

W kalendarzu jest wiele świąt, którym towarzyszy mniej lub bardziej rozbudowana obrzędowość. Do najważniejszych należy Wielkanoc i Boże Narodzenie. Celebrowane są święta rodzinne, towarzyszące najważniejszym wydarzeniom w życiu człowieka: chrzest, zawarcie związku małżeńskiego z weselem i pogrzeb ze stypą. Są wreszcie święta o charakterze lokalnym, do których należą m.in. odpusty parafialne. Każda parafia i kościół ma swego patrona. Najczęściej są to święci i błogosławieni. Istnieją także wezwania (tytuły), odwołujące się do Trójcy Świętej, nazw i symboli doznających szczególnej czci religijnej (np. świątynia pw.

Przemienienia Pańskiego, Trójcy Świętej, Ducha Świętego, Miłosierdzia Bożego, Św. Krzyża, Podwyższenia Krzyża itd.). Czasami kościół otrzymywał dwóch patronów, jak ma to miejsce w Przedwojewie (dawna kaplica dworska posiada wezwanie św. Stanisława i Przemienienia Pańskiego), kościół w Łopacinie jest pw. św. Leonarda i Narodzenia N.P. Marii, czy kościół parafialny w Malużynie – pw. św. Wojciecha i Zwiastowania N.P. Marii.

Zwyczaj nadawania kościołom wezwań sięga początku IV wieku, kiedy po ogłoszeniu edyktu mediolańskiego (313 r.) chrześcijaństwo zrównano w prawach z innymi wyznaniem



Skępe, brama prowadząca na krużganki klasztorne, 2013 r.



Skępe, prezbiterium w kościele klasztorowym, 2013 r.

na obszarze cesarstwa rzymskiego. Teodozjusz Wielki w końcu IV wieku chrześcijaństwo uczynił jedyną religią państwową cesarstwa. Praktykujący dotychczas w ukryciu chrześcijanie mogli teraz swobodnie wznosić świątynie. Budowano je nad grobami świętych, w miejscach śmierci męczenników, a kiedy nie było takich możliwości, fundatorzy kościołów starali się przynajmniej pozyskać do nich relikwie świętych. W ten sposób świątynia zyskiwała swego patrona, a dzień jego wspomnienia w kalendarzu liturgicznym stawał się świętem danego kościoła lub parafii. Święto zyskało z czasem miano odpustu parafialnego. W tym dniu parafianie i przybywający na odpust goście (pielgrzymi) mają możliwość uzyskania niezwykłego daru duchowego, jakim jest odpust zupełny, czyli darowanie kary za popełnione i odpuszczone grzechy. Uzyskanie tego jest możliwe jedynie po spełnieniu określonych warunków, a sama obecność na nabożeństwie w kościele w dniu patronalnym

nie oznacza dostąpienia Bożej łaski darowania kar za grzechy.

Oprócz odpustów we własnej parafii, wielkim zainteresowaniem ludności wiejskiej cieszyły się takie uroczystości w miejscowościach sąsiednich, nawet znacznie oddalonych, w których znajdowały się świątynie posiadające słynące cudami wizerunki świętych. W czasach kiedy przez świat przetaczały się epidemie, przemarsze wojsk i głód, zapracowany i poniżany przez wszelką zwierzchność wieśniak nie miał gdzie szukać sprawiedliwości. Życie codzienne również nie skąpiło mu nieszczęść i zgrzyoty. W takiej sytuacji jedyną ucieczką i pociechą była głęboka wiara. Nic zatem dziwnego, że szukał pociechy u stóp ołtarza z wizerunkiem Madonny lub świętego, który w opinii ludu uchodził za orędownika w określonych sprawach. Pielgrzymował przeto do sanktuariów, znanych z autopsji lub ze słyszenia, aby zwierzyć się ze swoich trosk i ukoić ból przed cudownym obrazem. Wyjątkową okazją do



Madonna Skępska

odwiedzin sanktuariów były odpusty. Do bardziej odległych miejscowości udawano się dla większego bezpieczeństwa gromadnie, czyli z kompanią, jak do dziś jeszcze w niektórych rejonach północnego Mazowsza nazywa się zbiorową, pieszą pielgrzymkę.

Od kilku już wieków Mazurzy z północnego Mazowsza pielgrzymują do sanktuariów maryjnych w Skępem, Sierpcu, Czerwińsku, Koziębrodach, Łopacinie i Bartnego Borku (dziś Święte Miejsce na skraju Kurpiowskiej Puszczy Zielonej koło Przasnysza). Od kilku stuleci pielgrzymują Mazurzy na odpusty do klasztoru bernardynów w Ratowie koło Radzanowa, gdzie znajduje się słynący łaskami obraz św. Antoniego. Popularnymi miejscami pielgrzymkowymi są leśne kościoły odpustowe Świętego Krzyża w Drogiszce na Zawkrzu, Świętej Rozalii w osadzie tej samej nazwy, położonej w pobliżu Makowa Mazowieckiego

oraz w Rostkowie koło Przasnysza. Swój wielki odpust miał i ma Ciechanów w kościele poaugustiańskim, na św. Teklę 23 września.

Po odpustach lubiła się włóczyć w szczególności szlachta zagrodowa, bo jak pisał Władysław Smoleński: *Największą dla szlachty uroczystością, obok Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, stanowi odpust w miejscach wstawionych cudami. Dużo posiada uroku, bowiem można się na nim z krewnymi i znajomymi z innej nawet spotkać parafii, nagadać się z nimi i wielu ciekawym przypatrzeć się rzeczom...*¹

Odpusty parafialne to zjawisko charakterystyczne przede wszystkim dla obszaru Polski. Kojarzą się z uroczystym nabożeństwem w kościele, procesją i barwnym otoczeniem w postaci festynu, kramów z obwarzankami, słodyczami, zabawkami i karuzelą. Współcześnie produkty oferowane przez sprzedawców na straganach są zwykle kiepskiej jakości, stąd słowo „odpustowy” kojarzone jest zwykle z tandetą. Odpust stanowił doskonałą okazję do dorocznych spotkań rodzinnych. Było pewnym, że spotka się dawno niewidzianych krewniaków i przyjaciół mieszkających w odległych nieraz wsiach, można było wymienić poglądy, przekazać plotki i ważne informacje rodzinne oraz zebrać nowiny, urozmaicające życie w ciągu najbliższych tygodni. Dzieci miały okazję posmakować obwarzanków i słodyczy, mogły naciągnąć rodziców i dziadków na drobne upominki, jazdę na karuzeli. Dla wielu dzieciaków w nieodległej przeszłości szczytem marzeń na odpuscie była słodka bułka lub obficie posypane cukrem ciastko z dziurką, później lody i wata cukrowa, popijane oranżadą z butelki z korkiem na drucianym uchwycie. Atrakcją – nie tylko zresztą dla dzieci – była papuga wyciągająca losy na loterii fantowej, strzelnica, czasami pokazy wędrownych akrobatów czy możliwość

¹ Smoleński W., *Drobna szlachta w Królestwie Polskim. Studjum etnograficzno-społeczne*, Warszawa 1885, s. 59.



Pielgrzymka z Płocka podążająca do Skępego, 2013 r.

wykonania fotografii w kiczowato malowanym ekranie z otworem na głowę. Niezwykłość święta parafialnego, jakim był odpust, podkreślał suty obiad na rodzinnym stole, na którym bywali często krewniacy z sąsiednich parafii, a zwieńczeniem dnia była wiejska zabawa taneczna.

Najważniejszym i zarazem najliczniej chyba odwiedzanym sanktuarium maryjnym diecezji płockiej jest Skępe, położone w połowie drogi między Sierpcem i Lipnem. Są to wprawdzie tereny ziemi dobrzyńskiej, ale od stuleci integralnie związane z diecezją płocką. W tamtejszym klasztorze bernardynów znajduje się słynąca łaskami gotycka figura Matki Boskiej, nazywana Królową Mazowsza, Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej. Sława tego miejsca sięga XV stulecia. Od czasu pojawienia się figury Madonny, sprowadzonej z Poznania w 1496 r. przez córkę ówczesnego dziedzica dóbr skępskich, kasztelanekę Kościelecką, z roku na rok przybywało pielgrzymów, zwłaszcza szukających pomocy, chorych i cierpiących. Wieści o cudach w Skępem rozchodziły się po całej diecezji i ziemiach ościennych. W XVII stuleciu

do klasztoru zaczęły przybywać pielgrzymki zbiorowe. Jako pierwsza w 1608 r. przybyła pielgrzymka mieszczan z Włocławka, aby prosić o oddalenie morowego powietrza, nękającego miasto. W następnych latach przybywały pielgrzymki pokutno-błagalne z miast północnego Mazowsza, w tym także z Ciechanowa, Mławy i Przasnysza². Ruch pielgrzymkowy został gwałtownie zahamowany przez rosyjskie represje po powstaniu styczniowym, chociaż nie zamarł. Klasztor uległ kasacie, ale do kościoła z cudownym wizerunkiem Madonny, pełniącego teraz funkcję świątyni parafialnej, nadal przybywali pielgrzymi, jawnie lub po kryjomu.

Dziś pielgrzymów można spotkać w sanktuarium skępskim przez cały rok. Największe obłężenie przeżywa klasztor – podobnie zresztą jak w przeszłości – w czasie odpustów. Spośród ośmiu w ciągu roku szczególną sławą cieszą się dwa: w dzień Zesłania Ducha Świętego (pamiętka koronacji cudownej figury) oraz na Siewną, czyli w święto Narodzenia N.P.M. (8 września), gromadzący w ostatnich latach

² Pawłowska K., *Cudowna Skępska Maryjo nasza*, Włocławek 1991, s. 9.



*Pielgrzymka z Sierpca na ulicach Skępego,
2013 r.*



*Feretron z figurą Madonny Skępskiej
na ramionach pielgrzymów, 2013 r.*



Drogiszka, suma odpustowa, 2019 r.

po 15 – 20 tys. wiernych. Tradycyjnie przybywa wówczas do Skępego około czterdziestu pieszych pielgrzymek. Odpust trwa dwa dni. Rozpoczynają go nieszpory, poprzedzone uroczystym witaniem przez gwardiana klasztoru przybywających pielgrzymek. Niektóre poprzedza orkiestra dęta, niektóre niosą na ramionach przybrane w kwiaty i wstążki feretrony z figurą Madonny Skępskiej. Jako ostatnia wchodzi zawsze do klasztoru pielgrzymka płocka. Jest

ona wyjątkowa, honorowa, bo z miasta diecezjalnego i do tego „zaprzysiężona”. W roku 1852 mieszkańcy Płocka w podzięce za odwrócenie epidemii cholery i ocalenie życia ślubowali Madonnie Skępskiej pielgrzymować pieszo co roku do jej sanktuarium. I tak było zawsze, z wyjątkiem lat okupacji, ale i wówczas pojedyncze osoby docierały do Skępego. Nie mniej liczna jest pielgrzymka sierpecka, nad którą powiewa mnóstwo barwnych chorągwi.



Drogiszka, prezbiterium kościoła
Świętego Krzyża, 2010 r.



Drogiszka, spowiedź na powietrzu,
2019 r.

Pielgrzymki i pielgrzymi indywidualnie obchodzą trzykrotnie ołtarz z cudownym wizerunkiem (dawniej obowiązkowo na kolanach). Po nie-sporach jest czuwanie w kościele, a około północy z kościoła klasztornego idzie procesja z figurą Madonny do leśnej kaplicy w tzw. Borku (miejsce objawień Matki Boskiej w XV stuleciu), gdzie odprawiana jest msza. Nad ranem do Borku ściągają wszystkie kompanie, aby uczestniczyć w kolejnej, odprawionej dla siebie mszy. Wanda Dowłaszewicz, naoczny świadek skępskich uroczystości w 2000 r., pisze: *Niektórzy ze świecami, o północy przeprowadzają figurę Matki Boskiej do Borku, gdzie odprawiana jest msza święta. Tam też następnego dnia o poranku przybywają kompanie na swoje msze. Zewsząd też słychać pieśń:*

Cudowna Skępska Maryjo nasza,
Tylu łaskami wstawiona,
Niech pieśń ta światu cześć Twą ogłasza,
Od wszystkich bądź pozdrowiona...

Śpiewają ją pątnicy i grają towarzyszące im orkiestry, tony się mieszają, a wszystko to skoro świt, często w tym czasie zamglonym, stwarza wręcz nierealną atmosferę. Od rana też w dniu odpustowym nadciągają kolejne kompanie ze śpiewem³. Po uroczystej sumie pielgrzymi wracają

³ Dowłaszewicz W., *Na pątniczym szlaku do Skępskiej Madonny*, Płock 2001, s. 21.

do domów. W sanktuarium pozostaje jedynie pielgrzymka płocka, która jako ostatnia wyrusza na pątniczy szlak następnego dnia rano.

Na Zawkrzu, w odległości ok. 20 km na północny zachód od Ciechanowa, leży wieś Drogiszka. Słynie ona z małego, drewnianego kościoła p.w. Świętego Krzyża, do którego okolica pielgrzymuje na odpust w Przemienienie Pańskie (6 sierpnia). Nie tak odległe to czasy, kiedy wsie w promieniu kilkunastu kilometrów od Drogiszki wyludniały się w tym dniu prawie całkowicie, a gęstniał ruch na drogach i miedzach biegnących w stronę kościoła. Nie było tu zwyczaju pielgrzymowania w zorganizowanych kompaniach. Ludzie szli na odpust rodzinnymi lub sąsiedzkiimi grupami. Ci z dalszych miejscowości jechali wozami i bryczkami, zabierając prowiant na cały dzień. Trudno dziś ustalić, jakie były okoliczności fundacji leśnego kościółka pw. Świętego Krzyża. Tradycja wiąże je z rozkwitem kultu św. Krzyża, zapoczątkowanym w tym miejscu w 1598 r. Legenda opowiada o młynarzu z sąsiedniego Niedzborza, któremu wtedy miał się ukazać we śnie św. Franciszek. Podobno wskazał on miejsce w lesie, gdzie bije źródło z wodą o cudownych właściwościach oraz prosił o postawienie krzyża przy źródle. I tak się stało. Woda z franciszkowego źródła okazała się być wielce pomocną



Drogiszka, pielgrzymi okrażają krzyż przy źródle, 2010 r.



Drogiszka, mężczyźni przy źródle ujętym w kamienną cembrowinę, 2010 r.

w leczeniu różnych schorzeń, zwłaszcza oczu. Zastanawiające jest jednak, że leśny kościół w Drogiszce nosił także wezwanie św. Rocha,

o czym wspomina wizytacja biskupia parafii Żurominek Kapitulny z 1776 r. To wezwanie sugerowałoby związek kościółka z plagą morowego powietrza⁴.

Przez wieki do kościoła w Drogiszce przybywali tłumnie ludzie 14 września, w święto Podwyższenia Krzyża i 6 sierpnia na Przemienienie Pańskie, połączone z wielkim odpustem. Z czasem ruch pątniczy zaczął maleć, ale sierpniowe święto obchodzone jest nadal bardzo uroczyście i tłumnie. Drewniany XVII-wieczny kościół, pokryty gontem, urzeka pięknem architektury. Wnętrze jest bardzo skromne, wręcz ubogie. W prezbiterium znajduje się ołtarz z krucyfiksem i obrazem w zwieńczeniu, przedstawiającym Przemienienie Pańskie. Pątnicy okrażali na kolanach ołtarz dookoła trzy razy. Obecnie większość ludzi obchodzi ołtarz, zatrzymując się przed nim na modlitwę na klęczkach.

⁴ Materiały do dziejów Ziemi Płockiej. Z archiwaliów diecezjalnych płockich XVIII w., red. Grzybowski M.M., t.3, Płock 1984, s. 144.

W odległości około 400 m od kościoła znajduje się owe cudowne źródelko, które młynarzowi z legendy miał wskazać św. Franciszek. Jest to właściwie niewielka sadzawka, na której usypano pomost, prowadzący do studzienki z kamienną cembrowiną, kryjącą cudowne źródło. Przed sadzawką stoi kamienny obelisk, zwieńczony żelaznym krucyfiksem, wystawiony w 1889 r. Pątnicy obchodzą trzykrotnie krzyż, jedną ręką dotykając jego cokołu. W przeszłości należało krzyż obejść na kolanach. Do chwili obecnej niektórzy ludzie czerpią wodę ze źródła i zabierają ją w butelkach do domu, aby przemywać chore oczy. Wnikliwi obserwatorzy twierdzą, że źródło posiada także inne niezwykle właściwości. Jeżeli rok jest suchy i skąpy w opady, to poziom wody w studziencie się podnosi i odwrotnie. Nigdy jednak nie zdarzyło się, żeby wody w źródle zabrakło.

Władysław Smoleński w 1885 r. pisał o Drogiszce: *Na granicy dzisiejszego powiatu ciechanowskiego i mławskiego, w parafii niedźborskiej, słynie w borze ukryty kościół, przy którym w maju i wrześniu do kilku tysięcy okolicznej szlachty się zbiera. Miejscowość od sąsiedniej wioski zowią Drogiszką, częściej „kościółkiem” i pod tym mianem słynie szeroko. Skromniutka, z drzewa zbudowana świątynia, samotna stoi wśród gliglij (świerków), i sosen; przed laty znaleziono przy niej krzyż jakiś i doświadczonej skuteczności wody, uzdrawiającej ślepotę. Za kościółkiem, ocienioną lipami spotkasz Mękę Pańską, jak spiżowy posąg Piotra w rzymskiej bazylice wytarta od całowania i od łez ludzkich nadgniła. Tu się miał przed laty cud zdarzyć. W niewielkiej odległości znajduje się sadzawka, w której ustawiono drewniane z onimbusowanymi głowami figury świętych. Pobożni moczą w niej szmatki i przykładają do oczu; wodę czerpią w garnuszki i flaszki, by na ślepotę skuteczne mieć w domu lekarstwo. Wieczorem, kiedy tłumy wracają do domów, na miejscu*



Święta Rozalia, pielgrzymi w kaplicy przed ołtarzem z obrazem świętej, 2017 r.



Ratowo, obraz św. Antoniego, 2020 r.

sadzawki błotnistą ujrzysz kałuże, a w niej moc wielką bielejących szmatek.

Ze kościółek nie może tysięcznego ogarnąć zebrania, pobożni w cieniu się modlą okolicznych sosen. Księża na olbrzymich stojąc kamieniach, głosem potężnym pobudzają do skruchy i za wypominki zbierają trojaki. Z odpustem łączy się jarmark. Z Ciechanowa, Radzanowa, Raciąża i Mławy przybywają szewcy, rzeźnicy, piwowary,



Chotum, procesja odpustowa, 2016 r.

owocarze i zduny, a rozłożywszy towary w lasku, natarczywie zachęcają do kupna. Po nabożeństwie tłumy na grupy według znajomości i pokrewieństwa się dzielą i spożywają przywiezioną lub na miejscu nabytą żywność. Rzeźmieszkowie również przybywają na odpust.⁵

Dopóki samochody nie wyparły z powszechnego użycia pojazdów konnych, czyli mniej więcej do końca lat siedemdziesiątych XX wieku, charakterystycznym widokiem w czasie odpustu były grupki ludzi siedzących w cieniu drzew, na ziemi lub na wozach, oddających się konsumpcji odpustowego posiłku. Gospodyni zabierała z domu wałówkę, złożoną najczęściej z pieczywa, gotowanych jajek, wędlin, pieczonego mięsa i kurczaków. Gospodarz nie zapominał o flasce gorzałki. Na odpuscie można było wprawdzie kupić jedzenie od rzeźników i piekarzy przyjeżdżających z okolicznych miasteczek, ale oszczędne gospodynie starały się nakarmić rodzinę własnymi produktami. Kupowało się

w pierwszej kolejności takie potrawy, jakich w domu nie było, a które należały do odpustowych tradycji – w pierwszej kolejności obwarzanki i łakocie dla dzieci, białe pieczywo i wędlinę.

Remigiusz Kawecki z Ciechanowa tak wspominał przed laty wyjazd na odpust do Drogiszki: *Ja panie jestem chłopak z Ciechanowa, a tak po prawdzie to ze Śmiecina. Na odpust do Drogiszki po raz pierwszy pojechałem dopiero, jak wżeniłem się do dziedziczki w Kargoszynie. To było w 1948 r. Och, co to były za odpusty! Jechało się panie z fasonem, bryką, jak to na odpust. Ludzie mówili, że bryczkami to jeździła szlachta, a chłopstwo wozami. Na wóz więcej ludzi wsiadło niż na brykę. Teściowa moja - jak wszyscy - gotowała na odpust więcej niż z mendel jajek na twardo i piekła kurczaki. Jedzenie pakowała do koszyczka, a do toczka⁶ nigdy nie zapomniwała włożyć flaszkę*

⁵ Smoleński W., op. cit., s. 59–60.

⁶ Skrzynia na obrok dla koni umieszczona na wozie, nakrywana siedzeniem dla furmana; w bryczce taką funkcję pełnił kozioł, czyli podwyższone siedzenie dla woźnicy.



Ratowo, stargany odpustowe, 2020 r.

gorzałki. Bo co by to panie był za odpust, jakby człowiek po sumie nie przetał zębów i nie wypił kielicha, żeby w główce zaszumiało. Do domu to wracało się czasem dopiero nad wieczorem. Dziś już nikt nie przyjeżdża do Drogiszki na odpust konnym pojazdem. Bryczki, wolanty i wozy zastąpiły samochody, które długimi szpalerami parkują wzdłuż dróg prowadzących do kościoła. Dzięki pojazdom mechanicznym skróciła się droga na odpust, w związku z tym nie ma potrzeby zabierania ze sobą jedzenia, bowiem można szybko po sumie wrócić na obiad do domu. Bezpowrotnie odeszły w niebyt barwne obrazy rodzin ucztujących w cieniu gaju, otaczającego kościół.

Bywało na odpustach – także w Drogiszce – że dochodziło do burd, jak to pomiędzy mazowiecką zagonową szlachtą, która miała niepohamowaną skłonność do pieniactwa i awantur. Proboszcz z Żurominka Kapitulnego, do którego parafii należał wówczas odpustowy kościół – pisał w 1776 r.: *Nie znajdują się*

w granicach [parafii] tacy ludzie, którzy by byli takiego złego życia albo inszym do zgorszenia tego kościoła. Oprócz odpustów w kościółku św. Krzyża dwa razy na rok odprawującego się, gdzie więcej ludzie zwykli tracić czas na pijaństwie, zwadach i kaleczeniu siebie przychodni z różnych wiosek⁷.

W pobliżu Radzanowa nad Wkrą leży Ratowo, kolejna miejscowość pielgrzymkowa. Jest tu dawny klasztor bernardynów, w którym znajduje się słynący cudami obraz św. Antoniego. Ignacy Sadkowski w 1903 r. pisał: *Św. Antoni jest patronem poszkodowanych zgubą lub kradzieżą. Dla odnalezienia zguby poszkodowany odmawia paciery i jeżeli w paciery nie omyli się, to ma nadzieję, że zguba się znajdzie. Słynie w tu-tejszych stronach cudowny obraz tego świętego, znajdujący się w kościele filialnym (dawniej kks. Reformatorów) w Ratowie, niedaleko Radzanowa. W dniu 13 czerwca, poświęconym temu patronowi, zgromadza się tam mnóstwo ludu, tak szlachty, jak*

⁷ *Materiały ...*, op. cit., s. 145.



Święta Rozalia, stargany odpustowe, 2017 r.



Ciechanów, stargany odpustowe
na odpuszczenie św. Tekli, 2008 r.

chłopów, składając liczne ofiary na podziękowanie świętemu za odzyskane zguby.

W okolicy utrzymuje się znane skądinąd podanie, że ubogi starozakonny, poszkodowany kradzieżą, udał się do zakonników z ofiarą na mszę do św. Antoniego o zwrot straconego mienia; kiedy nazajutrz poszedł do kościoła, poznał w cudownym obrazie tego zakonnika, któremu wręczył swój datek, wracając zaś do domu po nabożeństwie, znalazł już skradzione rzeczy. Inna legenda opowiada, że święty, wskutek zanoszonych do niego modłów, wybawił młodzieńca od wstąpienia do wojska, a to stanąwszy za nieobecnego z powodu zaśnięcia w drodze, w jego postaci do losowania i wyciągnąwszy wysoki numer losu⁸. Odpusty na Antoniego bardzo straciły na znaczeniu po kasacie zakonu bernardynów w 1868 r.⁹ W. Smoleński pisał: *Z powodu rozpędzenia mnichów, słynących z krzykliwych kazań, odpusty straciły grozę tragiczną i mniej już ściągają pobożnych. W każdym razie urok posiadają jeszcze potężny. Dzisiaj ruch pielgrzymkowy w Ratowie znacznie osłabł, niemniej odpust w dniu patrona pozostaje nadal wielkim wydarzeniem dla mieszkańców okolic Żuromina, Bieżunia i Szeńska. Wśród pielgrzymów można spotkać mieszkańców Ciechanowa i innych miast.*

⁸ Sadkowski I., *Drobna szlachta w powiatach Płockim i Płońskim*, „Wisła” 1903, t. XVII, z.6, s. 684.

⁹ Smoleński W., op. cit., s. 60.

4 września Kościół czci św. Rozalię. Zapomniana dziś święta doznawała w przeszłości w całej Europie wielkiej czci od 1624 r., kiedy ochroniła Palermo przed epidemią dżumy. Podobnie jak św. Roch jest orędowniczką chroniącą od zarazy. Ta sycylijska arystokratka i pustelnica ma swoje sanktuarium na Mazowszu, na uroczysku leśnym o nazwie Święta Rozalia obok wsi Słójki w parafii Szelków k. Makowa Mazowieckiego. W 1709 r. na tym uroczysku wzniesiono drewnianą kaplicę, w której umieszczono obraz św. Rozalii. Fundacja kaplicy dedykowanej świętej wiąże się prawdopodobnie z epidemią dżumy, przywleczoną na początku XVIII w. do Polski przez obce wojska w czasie wojny północnej. Leśne ostępy położone z dala od osiedli ludzkich były najlepszym schronieniem dla ludzi uciekających przed zarazą.

Kult św. Rozalii zapoczątkowany w leśnej kaplicy w XVIII stuleciu trwa nieprzerwanie do chwili obecnej. Najwięcej wiernych przybywało tu w latach epidemii, szukając ratunku przed obliczem świętej orędowniczki władnej uśmierzać zarazę. Tłumy pątników od trzech stuleci gromadzi doroczny odpust w dniu 4 września. Nabożeństwo rozpoczynały niegdyś nieszpory w wigilię uroczystości, po czym następowało całonocne czuwanie przy ogniskach i w blasku przyniesionych latarni, przepełnione śpiewami



i modlitwami. Ks. Franiszek Rachmiński tak relacjonował odpustowe wrażenia w „Przełędzie Katolickim” z 17 listopada 1897 r.: *Chaos powstaje nie do przyjęcia, bo proszę sobie wyobrazić tysiące ludu śpiewającego różnymi głosami, melodiami, a nawet gdzie niegdzie przy instrumentach. Sprawdza się tu przysłowie - „Jak kto może, tak Pana Boga chwali”, dodać by jeszcze można - i na rozmaite głosy. Z dala słychać szum jakby fali morskiej, a łuna światła daleko się rozchodzi. Śpiew ten trwa noc całą, dopiero nad ranem, gdy dzień zaczyna, powoli głosy cichną, ustają, milkną - i lud zmęczony, niewyspany, ochrypli, układa się do spoczynku na czas pewien.*

W 1944 r. wojsko sowieckie zniszczyło starą modrzewiową kaplicę, ale proboszczowi szelkowskiemu udało się uratować i przechować w ukryciu obraz św. Rozalii. Po wojnie na miejscu zniszczonej świątyni stanęła nowa, prowizoryczna budowla, którą po latach zastąpiła murowana kaplica. Uroczystości odpustowe

nie są już tak okazałe jak przed wojną, nie ma już nocnego czuwania tłumów, śpiewów do świtu przy ogniskach. Większość pielgrzymów przyjeżdża na sumę odpustową i zwykle zaraz po niej wraca do domu. Odpust w Świętej Rozalii został w ostatnim czasie połączony z dożynkami dekanatu różańskiego i powiatu makowskiego, co wpływa na zwiększenie zainteresowania tym miejscem, nie tylko wśród wierzących.

W dzisiejszym „nowoczesnym” świecie odpusty już nie cementują życia rodzinnego i parafialnego w takim stopniu, jak bywało w przeszłości. Nie słychać już na nich wystrzałów z korkowców i śpiewu glinianych kogucików, w zapomnienie odeszło jojo i blaszane zegarki. Niemniej odpusty okresu wiosenno–letniego, zwłaszcza te wypadające w weekend, nadal przyciągają wielu ludzi, czego przykładem może być również odpust na św. Teklę w Ciechanowie.

Tomasz Czerwiński

Zdjęcia ze zbiorów autora

